Nr. 14. Poznań, niedziela 5-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Do szeregu!
Polityka: Przegląd prasy polskiej p. —ski. — O stańczykach II, p. K. Bartoszewicza.
Literatura i sztuka: Ze starego miasta (wiersz) p. Or-ot. — Tęsknota za krajem w naszej literaturze (ciąg dalszy) p. Bernarda Chrzanowskiego.
Życie społeczne: Notatki paryzkie p. J...z.
Z estrady i sceny. Wilk i owce. Krotochwila w 4 aktach Jordana. Ocenił W. R. — Trzeci koncert symfoniczny i koncert Piecznikowa. Ocenił E. Jahnke.
Feljeton: To i owo. (Modna kobieta. — Także poezya). — Na wyłomie p. Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Błędy językowe.
Odpowiedzi Redakcyi.
Sprostowanie.
Odcinek: W świat przez K. Rojana. (Ciąg dalszy).
Wspomnienia z legii zagranicznej p. St. Czałuta. (Ciąg dalszy).

Do szeregu!

Rozzuchwalona rządowem placet federacya szowinistów niemieckich zapala na wszystkich szlakach życia polskiego ognie nienawiści. Okrzyk Bismarckowskich tępicieli rozbrzmiewa coraz głośniej, a na wyżynach kierujących państwa i prowincyi każde życzenie kliki Hakatystów zamienia się w rozkaz żelazny, idący w ziemie polskie jako gwałt najelementarniejszych zasad równouprawnienia. Nie ma dnia prawie bez wieści o nowych śrubach polityki duszenia i ugładzania, — nie ma dnia bez piętna bismarcków, bez świeżych objawów cywilizowanego barbarzyństwa.

Rozpoczyna się zatem bój gorączkowy, bój na całej linii: z jednej strony potężna armia Prusaków, rząd wielkiego państwa, skarb w złoto bogaty, legjon urzędników, pycha i bezwzględność krzyżacka, — z drugiej strony społeczeństwo małe, znękane ubogie, bez wodzów zdolnych, bez siły inicyatywy i bez wytrwałości kamiennej. Zdawałoby się mogło, że w tak nierównej walce nie ma już dla nas nadziei, lecz gdy oni na rabunek idą, my bronimy wszystkiego, co tradycya wiekowa przekazała jako skarb narodu i tak zespoliła z sercem, umysłem, całą istotą zwyciężonego ludu, że gdy nam obie ręce obetną, my zębami bronić będziemy świętości naszych. Ta różnica w bojowych celach dwóch walczących potęg wyrównuje szanse. Niech przyjdą Persowie! Grecy mają Termopile i Salamis swoją.

Kreśląc jednak słowa otuchy w tej walce śmiertelnej, nie lekceważymy bynajmniej niebezpieczeństwa. Przeciwnie, wyrażamy przekonanie, że ten atak niemiecki najświeższej daty zastanawia tak pod względem strategicznego sprytu, jak środków wojennych i wszechstronnego rozmachu; z drugiej strony obronność społeczeństwa polskiego budzi w nas pewne obawy i wymaga niezwłocznej reformy.

Cała dotychczasowa akcya ratunkowa wykazuje kardynalne symptomy słabości: brak energii, bezwzględności i solidarnego współdziałania wszystkich cząstek zagrożonej armii. Historya komisyi kolonizacyjnej dowiodła, że społeczeństwo poznańskie nie zdobyło się nawet na konsekwentne potępienie tych jednostek, o których żadna nie istniała wątpliwość, że bez młotka subhastacyjnego nad głową, bez widoków kija żebraczego pukali do wrót stumiljonowego funduszu i ziemię polską jak towar pospolity na targ ponieśli. Gromy dzienników wywierały wrażenie teatralnych efektów i zaledwie ten i ów przed szachrajami rękę swoją cofnął, a szereg ich na urodzajnej glebie miękkości polskiej wyrastał w cyfrę poważną. I więcej nawet! Szachrajów przeklinały dzienniki, a szachraje berła dzierzyli w życ u publicznem i społeczeństwo nie miało dość odwagi i bezwzględności, by je z rąk nieuczciwych wytrącić. Ta nasza uprzejmość, ten brak druzgocącego protestu przeciw podeptaniu idei narodowej, ta miękkość opinii publicznej — oto grzyb, który niszczy nasze bramy, wieże i mury. Dopóki żołnierz nasz nie zrozumie, że nietylko wyraźne odstępstwo, lecz już sama opieszałość w służbie pociąga za sobą karę śmierci cywilnej lub przynajmniej policzek moralny i pogardę publiczną, tak długo obrona nasza kruszyć się będzie i uginać przed potęgą wrogów. Żądania nasze mają bez wątpienia surowy dźwięk żelaza, który zrazu przestraszy może niewolników galanteryi i kauczukowej tolerancyi, lecz w nowych warunkach ten radykalizm jest niezbędnym atutem zwycięztwa i społeczeństwo musi go sobie przyswoić.

A jeżeli na wewnątrz żądamy prawa wojennego, to tem więcej na zewnątrz solidarność, twardość żołnierska i płomienne „ząb za ząb“ jest nieodzownym warunkiem powodzenia. Obecny sposób prowadzenia walki wywiera nieraz takie wrażenie, jakby to była nie wojna lecz zabawa wojenna. Na kule wrogów odpowiadamy deszczem „konfetti“, na uderzenia toporów muśnięciem wachlarza. Ten i ów jak tur litewski nadstawi rogów w tragicznych zapasach o narodowe „być albo nie być“ — lecz tłum szeroki pozostaje niepoprawnym „Francuzem północy“, typowym *galantuomo*, nietylko na posadzce salonowej, lecz nawet tam na arenie, gdzie bój się toczy zażarty. Ta nasza „układność“, ten „dobry ton“, to trzymanie kapelusza w ręku, te bezustanne ustępstwa i jakaś tchórzliwość zajęcza ośmiela wroga i otwiera na roścież bramy warowni naszych. W tym względzie grzeszy mianowicie prowincya, gdzie na świętach Sedanu powiewają polskie chorągwie, gdzie przestrzeganie praw języka polskiego w stosunkach handlowych i towarzyskich jest deklamacyą pustą, a krzywdy niemieckie wędrują do polskiej kieszeni, przyjmowane obojętnie lub nawet pokornie. Nie przeceniamy bynajmniej odpornej siły samego Poznania — twierdzimy przeciwnie, że źle jest w stolicy, mimo bezustannego grania kilkunastu armat dziennikarskich i rozlicznych źródeł ożywczych narodowego ruchu, — gorzej jednak na prowincyi, gdzie krzewicieli ducha jest mało i mało apelów wojennych. Nie dość stroić pisma nasze dewizą: „Uczmy dzieci po polsku“, — dziś inny okrzyk jako hasło reformy rozbrzmiewać winien po kraju: „Uczmy rodziców po polsku“. Słowo to błyszczy barwą paradoksu, lecz mówi ono: że starsza generacya nadto potulnie przyjmuje banicyę narodowego języka we wszystkich dziedzinach życia społecznego, że nawet tam, gdzie poszanowanie dla mowy polskiej dyktować obcym żywiołom mogłaby skutecznie, obowiązek swój spełnia niedbale, — i w tem znaczeniu paradoks staje się prawdą bolesną. My nie zalecamy bynajmniej powtarzanej tylekrotnie maksymy „Kupujcie tylko u swoich“, bo w naszych warunkach uważamy ją za błędną w kierunku ekonomicznym zasadę, lecz: „Kupujcie tylko tam, gdzie język wasz znają i szanują“ — oto prawidło, które społeczeństwo w stosunkach handlowych na każdym kroku stosować powinno. Ktokolwiek mowę polską wypędza, ten wypędza zarazem Polaków, — to stać się musi dogmatem publiczności naszej i energicznem „Memento“ dla niemieckich kupców i przemysłowców. Usunięto programy polskie z ogrodu zoologicznego w Poznaniu, — więc ogród ten dla Polaków istnieć przestaje; zakazano wojskowym kapelom grać melodyi polskich, więc muzykanci armii pruskiej nie przestąpią już progów naszych. Ząb za ząb, bojkot za bojkot, to wojenne prawo, a kto się wyłamie ten narodowy dezerter.

Nie zapoznajemy bynajmniej trudności, z któremi program taki jest połączony, lecz potrzeba jest matką wynalazku, ucisk potęguje energię, głód rozwija przedsiębiorczość. Skoro nam odcięto dotychczasowe źródła życia, społeczeństwo, nie dziś to jutro, stworzy sobie nowe; obok kapel wojskowych staną kapele prywatne, — obok niemieckich ogrodów skromniejsze może, lecz za to swojskie, miejsca zgromadzeń i zabaw. To tylko jedna chwila postu narodowego i ambarasu, na którą społeczeństwo zgodzić się musi, a im wszechstronniejszą i solidarniejszą będzie ta zgoda, tem silniejsze par-

cie ku zażegnaniu kłopotów, prędsza budowa dróg nowych i większe szanse powodzenia i rozwoju produktów samopomocy narodowej. Czas już największy, aby raz wreszcie zerwać z tą rozsypką bezładną, która paraliżuje każdy nasz odwet. Coś z wygód naszych i przyjemności poświęcić trzeba, a kto dla nizkiego egoizmu i zimnej obojętności nie złoży drobnej ofiary, ten paść powinien pod obuchem opinii publicznej. Niemiłosierne, surowe, brutalne nawet prawo wojenne rządzić musi społeczeństwem, bo gdy wróg się wspina na mury, każdy Polak staje się żołnierzem.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Odprawa. Przed niedawnym czasem wystąpił „Kuryer Poznański“ z polemicznym artykułem przeciw rozwojowi prowincyonalnej prasy polskiej, zarzucając jej „brak myśli przewodniej“, „wstrętną reklamę“, „wybujały indywidualizm“, „obniżanie poziomu moralności“ itp. Na artykuł ten odpowiedziała „Gazeta Toruńska“ (Nr. 71) w słowach następujących:

„Naszem zdaniem prawda znajduje się pośrodku. Godzimy się najzupełniej z „Kuryerem Pozn.“, że siły dziennikarskie są u nas zbyt rozstrzelone i wskutek tego redakcye, zmuszone młócić materyał informacyjny, którego czytelnik przedewszystkiem żąda, mało mają czasu na pisanie poważniejszych artykułów. „Gazeta Toruńska“ zamieściła już we wrześniu roku zaprzeszłego kilka korespondencyi, których autor, znawca stosunków prasowych ostrzegał przed projektami wydawniczemi. Wtenczas odbijały się o uszy nasze uwagi, że im więcej gazet, tem lepiej dla społeczeństwa, jak gdyby społeczeństwu z tego jaka korzyść urosła, że np. wiadomość o pożarze w Chełmży, zamiast trzech lub czterech, sześciu redaktorów pisać, sześciu zecerów składać, sześciu maszynistów pod prasę oddawać będzie. I my jesteśmy zdania, że mniejsze pisma zaboru pruskiego cierpią na anemię dla tego, że mamy pism za wiele, ale idziemy jeszcze dalej, niż „Kuryer Pozn.“ Naszem zdaniem zaczernianie dwu tak wielkich kawałów papieru, jak „Dziennik“ i „Kuryer Pozn.“, to dla zaboru pruskiego zbyt kosztowna zabawka w obec faktu, że program polityczny obydwu tych pism nie różni się prawie wcale. Dwukrotne tłomaczenie i składanie jednobrzmiących komunikatów różnych władz, mów poselskich, referatów itp., to niepotrzebne marnowanie czasu. Sił dziennikarskich w obydwu redakcyach zasiada właśnie tyle, że mogłyby one bez nadwerężenia sił i wyjałowienia własnego umysłu wypełnić jedno dobre pismo, a prenumeratorowie „Dziennika“ i „Kuryera“ razem to także jeszcze zastęp dla jednego pisma niezbyt wielki. Ustąpić z widowni powinienby, Kuryer“, jako młodszy i mniej czytany a podtrzymywany z wielkim wysiłkiem.

Wytyka „Kuryer Pozn.“ pismom pomniejszym brak myśli przewodniej, ale niesłusznie, bo wszystkie nasze mniejsze pisma obrały sobie za cel podnoszenie ludu pod względem moralnym i materyalnym, w tym kierunku wpływają na lud a na swym sztandarze wypisały słowa: „Dobro Kościoła i narodu“. Jeżeli to „Kuryerowi“ nie wystarcza, to nietylko Staszyc, Marcinkowski itp. mężowie, lecz nawet Kościuszko nie znajdzie łaski w oczach jego, bo i oni mieli na oku tylko dobro ogółu.

Zarzut, że pisma ludowe do samodzielnego myślenia nie pobudzają, wygląda po prostu na kpiny w obec uwagi, iż niektórzy redaktorowie grzeszą zbytnim indywidualizmem. Jakto, więc człowiek nie myślący samodzielnie lecz spisujący tylko to, co mu inni szepcą do ucha, ma lud prowadzić do samodzielnego myślenia? To chyba nie możliwe.

Amerykańskiej reklamy nie pochwalamy. Potępiamy także kupczenie świętościami w interesie wydawnictwa, ale jeżeli świętości nadużywa się do zwalczania jednych pism, dla czego wydawcy drugich nie mieliby wpaść na pomysł, że te świętości mogą przymnożyć im zysków. Trzeba raz zerwać z nadużywaniem religii do celów świeckich, a żaden wydawca nie ośmieli się do cyrkularzy inseratowych załączać świstków z błogosławieństwem papieskiem.

Że pisma starają się o abonentów, że z sobą współzawodniczą, nie jest to rzecz zdrożna, byle współzawodnictwo nie przekraczało granic dozwolonych. Ale któż produkcyę „billig und schlecht“ czyli nieuczciwą konkurencyą wprowadził do dziennikarstwa? Ci, którzy nie posiadając tygodnika religijno-powieściowego dla ludu, stworzyli codzienne pismo polityczne za markę kwartalnie. Przez to nietylko jednym zamachem obniżono cenę a w następstwie wartość pracy ludowo-dziennikarskiej, lecz podkopano też, rzecz to stwierdzona, byt naszych najstarszych i najzasłużeńszych pism ludowych.

Założenie pierwszego markowego dziennika było objawem nienaturalnym, nie zaspokajało potrzeb ludu, tylko stworzyła je partya, nie dla ludu, lecz dla wyrwania ludu z pod wpływu pomniejszych a niezależnych pism codziennych i niecodziennych. W tym celu rozwinięto za noworodkiem szaloną agitacyę, dla której nadużywano i niejednokrotnie dziś się nadużywa wszelkich powag i świętości.

Że pisma samodzielne dokładają starań, aby się utrzymać, to rzecz chwalebna; że nowe pisma, które zmuszone są stosować się do wytworzonych sztucznie cen produktów dziennikarskich, niekiedy w agitacyi w reklamach naśladują protektorów organów markowych, należy ubolewać, ale dziwić się trudno, bo i wydawcy gazet są ludźmi, którzy pragną uniknąć strat tak samo, jak akcyonaryusze „Kuryera.“

Jeżeli dzieje się to niekiedy kosztem moralności publicznej, winni są przedewszystkiem ci wpływowi ludzie, którzy, zamiast publicznie lub prywatnie przemawiać do rozsądku i sumienia redaktora, tłomaczą wydawcom, że poniosą straty, jeżeli pismo nie zastosuje się do pewnych wskazówek i życzeń, a w razie oporu starają się, żeby się przepowiednia ziściła. Jest to niebezpieczne zawsze, lecz najniebezpieczniejsze tam, gdzie redaktor jest zarazem wydawcą.

W stosunkach, jakie się wytworzyły pod zaborem pruskim, człowiekowi szczeremu i otwartemu, pragnącemu mówić prawdę każdemu, trudno być redaktorem. Najlepiej nadaje się do tego osobnik wykolejony, rozbitek moralny bez stałych przekonań i bez poczucia własnej godności. Jeżeli stosunki się nie zmienią, to tylko tacy ludzie oddawać się będą dziennikarstwu. Z powołania i zamiłowania, które prowadzi ludzi do innych zawodów, człowiek uczciwy zawodowi dzienikarskiemu niełatwo się poświęci.

Aby do tego nie dopuścić, powinno społeczeństwo nietylko jednostki nie posiadające odpowiednich kwalifikacyi moralnych z redakcyi i z życia publicznego wykluczyć, lecz przedewszystkiem tych, któ-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

Całe zgromadzenie wybucha śmiechem. Klepka zatacza się w krześle. Atoli Szołomiejski, któremu ta uwaga popsuła cały efekt bajki, zgrzyta zębami i woła:

— Nie przeszkadzajże pan do stu djabłów, bo przestanę mówić.

— Oto by było wielkie nieszczęście!

Borajski przywołuje zgromadzenie do porządku i jeszcze raz prosiRanieckiego o spokój, poczem Szołomiejski ciągnie dalej:

— A gdy się to stało, wówczas mądry ojciec rzecze do nich: „Próbujcie złamać te pręty.“ Próbowali wszyscy i każdy z nich z łatwością swój złamał.

Raniecki:

— Phi, wielka sztuka!

Szołomiejski, nie wychodząc z tonu:

— Tymczasem wydobywa mądry ojciec z za łóżka inne trzy pręty takiej samej grubości. ale już związane razem, i każe synom próbować po kolei, czy złamią. Próbowali, dobywali wszystkich sił, ale żaden prętów złamać nie mógł, a nie mógł dla tego, bo były związane. Otóż moi panowie, z nami jest tak samo. Jeżeli zwiążemy nasze siły w jedną całość, jak to nam nakazuje nasz ojciec, który się zwie obowiązkiem obywatelskim, to będziemy silni, a żadna moc skruszyć nas nie zdoła. I zobaczycie panowie, że kiedyś, gdy już kasa nasza żyć będzie i rozwinie się ładnie, to przyjdzie taki dzień, że nietylko będziemy mieli wielką wygodę z kredytem i sporo kapitału obrotowego, ale także, jak tego przykład na wielu innych towarzystwach — zakupimy sobie własną kamieniczkę i...

Raniecki podchwytując:

— Aha, i co jeszcze: cielę, prosiaka i kurę czubatą?

Szołomiejski jowialnie:

— I to być może, jeżeli pan Raniecki podejmie się pielęgnować pomienione zwierzęta domowe.

Klepka:

— Ha, ha, ha!

Borajski zaprowadza spokój.

Szołomiejski wyśmiawszy się, ciągnie dalej:

— Po tym wstępie, moi panowie, odczytam wam paragrafy statutu, ułożonego wspólnie z panem Borajskim, Szelągiem Wywrotem.

Raniecki:

— A mnie tam nie było?... ha?

Szołomiejski:

— Pan nic nie układałeś, przeciwnie, przeszkadzałeś tylko.

Raniecki:

Ej!

Po tej krótkiej sprzeczce poczyna Szołomiejski czytać:

„Paragraf pierwszy: Cel i zadanie przemysłowo - rękodzielniczego towarzystwa pożyczkowego z ograniczoną poręką.

— Co?... znowu: „cel i zadanie?...“ Panie prezesie, proszę o głos! I on śmie jeszcze mówić, że ja nie układałem statutów? a... a na czyj wniosek wyrzucono „cel“, czy też „zadanie“, już nie wiem, który z nich, ale wiem, że wyrzucono, ha? panie Borajski, proszę o głos! Ja mu tu zaraz powiem. Proszę o głos.

— Zaraz. Jak tylko pan Szołomiejski skończy mówić.

— Ale ja chcę natychmiast. On i do sądnego dnia nie skończy. Ja tak długo czekać nie mogę, głodny jestem.

Szołomiejski unosi się:

— Przepraszam!

Raniecki:

— Ja chciałem tylko powiedzieć...

— Przepraszam!

— Że pan Szołomiejski...

— Przepraszam!

— Że pan Szołomiejski przekręca nasze uchwały...

— Ależ przepraszam!

— Za co pan przepraszasz do kaduka czerwonego?... za co?

Szołomiejski uderza ze wściekłością papierami o stół.

— Przepraszam!

rzy groszem, groźbami lub nieżyczliwą agitacyą i bojkotem wywierają na redaktorów nacisk, piętnować publiczną pogardą tak samo, jak się piętnuje przekupstwo lub wymuszanie w innych stosunkach. W przeciwnym razie prasa coraz więcej podupadać będzie i zatruje całe społeczeństwo nasze.“

* * *

Polityka ugodowa w zaborze pruskim. W Nr. 6 „Przeglądu Wszechpolskiego“ znajdujemy następujące uwagi o manowcach polityki naszej:

„Rząd pruski nie myśli i nie potrzebuje zmieniać wypróbowanej polityki swojej względem Polaków. Stronnictwo, które oświadcza, że nawet pomimo prześladowań rządu nie stanie w opozycyi zasadniczej, nie doczeka się, żeby najskromniejsze bodaj żądania jego zostały spełnione. Nigdy władza państwowa nie robi dobrowolnie ustępstw, bo nawet wtedy, kiedy z własnej inicyatywy je przyznaje uprzedza tylko przewidzianą z góry konieczność. Posłowie polscy w Berlinie, którzy tak lubią przykłady i cytaty historyczne, nie znajdą w dziejach świata ani jednego przykładu, któryby ich taktykę potwierdzał, nie wskażą ani jednego rządu, któryby niezmuszony do tego rozszerzał prawa narodu, a zwłaszcza ludności obcoplemiennej.

Taktyka, polegająca na zmniejszaniu swych sił, na sprowadzaniu do minimum swych żądań, musi mieć w polityce skutki najfatalniejsze. Niemców, którzy już wskutek znacznej przewagi siły czują się zupełnie pewnymi na swem stanowisku dotychczasowem, uspakaja ostatecznie, a rządowi, gdyby nawet do pewnych ustępstw był skłonnym, odejmuje jedyne usprawiedliwienie w obec opinii, jak wiadomo, wrogo dla Polaków usposobionej — konieczność zmiany istniejącego stanu rzeczy. Uprawnieni przedstawiciele społeczeństwa polskiego zapewniają przecie sami, że do opozycyi bezwzględnej skłonić się nie dadzą, że pozostaną wierni państwu, które ich gnębi, wreszcie wykazują, że są słabi i nie mogą być dla Niemiec niebezpiecznymi.

Ale gorzej jeszcze oddziaływa owa taktyka na społeczeństwo polskie, pozbawia je bowiem wiary we własne siły, która jest najpotężniejszą dźwignią odporności narodowej. Nie dosyć tego — bałamuci taka polityka bowiem szerokie warstwy ludności gadaniną sentymentalną i uzasadnieniem fałszywem dążeń przyrodzonych, które nie potrzebują żadnych rękojmi prawnych, bo opierają się po prostu na fakcie istnienia odrębnej narodowości polskiej. Ten fakt, czyli to „zrządzenie opatrzności“, jak powiada p. Motty, jest zupełnie wystarczającym i gdyby uznano go za właściwą podstawę polityki narodowej, musiałaby ona przybrać inne kształty, innych używać środków.

Rękojmie traktatowe, przyrzeczenia monarsze, które w najlepszym razie mają wartość tylko chwilową, i ustawy prawne niczem są w obec świadomej woli narodu, chcącego zachować swoją odrębność i zdecydowanego bronić jej wszelkiemi sposobami. Gdyby posłowie polscy w Berlinie przestali mamić siebie i ludność, którą przedstawiają, zwodnemi nadziejami, zerwaliby z niedołężną i śmieszną nieraz rutyną, pozbyliby się krępującej ich lękliwości i daliby inną odpowiedź p. Bossemu.

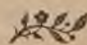
Tak, (powiedzieć powinni), żywioł polski pomimo prześladowań i strat wielu, nie słabnie wcale i nawet rozwija się powoli. Wy, fakty, świadczące o tym rozwoju nazywacie zaczepnością, ale w naszem rozumieniu są one tylko odzyskiwaniem tego, cośmy poprzednio utracili. W porównaniu z waszą potęgą jesteśmy słabi, ale dosyć silni na to, żeby wam nieraz zaszkodzić lub przynajmniej utrudniać waszą działalność państwową.

Nie byłoby to wcale przechwałką, bo bezwzględna opozycya Polaków w ciałach parlamentarnych sprawiłaby nieraz rządowi dużo kłopotu. Obawa zaś, że mogłaby ściągnąć na społeczeństwo polskie, nowe, silniejsze od stosowanych dotychczas prześladowania, wydaje się nam płonną. Zresztą w państwie konstytucyjnem jest zawsze pewna miara ucisku, której rząd przekroczyć nie może i pewna możność obrony.

Musimy tu zastrzedz, że opozycya bezwzględna nie oznacza wcale zejścia z drogi legalnej i nie jest wtedy nawet równoznaczną z działalnością rewolucyjną, kiedy posuwa się do ostatnich krańców, zasadniczą ustawą państwową zakreślonych. Nie można się też łudzić, że miałaby ona bezpośredni skutek dodatni, że zniewoliłaby rząd do jakichkolwiek ustępstw. Przez długi czas stan rzeczy nie zmieniłby się prawdopodobnie wcale. Lecz nadanie naszemu życiu politycznemu w zaborze pruskim charakteru wybitnie opozycyjnego pod innym względem byłoby bardzo pożądanem, uczyniłoby bowiem zbytecznym ten aparat polityczny, który dzisiaj tyle sił pochłania i zwróciłoby uwagę ogółu na pracę wewnętrzną, dziś tak zaniedbaną. Formalizm w pojmowaniu i traktowaniu spraw politycznych obezwładnił zdolność do czynu w społeczeństwie polskiem. Zarumienićby się powinni ze wstydu posłowie poznańscy, kiedy im p. Bosse w odpowiedzi swej wykazał, że w obwodzie regencyi bydgoskiej na naukę języka polskiego uczęszcza $1/3$, najwyżej $1/2$ dzieci polskich w wiejskich szkolnym, a w 16 szkołach w Księstwie nauka ta wcale się nie odbywa, bo nie żądają jej rodzice. W obec tego minister mógł istotnie powiedzieć, że Polakom więcej chodzi o agitacyę, aniżeli o obronę praw swoich.

Taka polityka opozycyjna o jakiej mówimy, nie ma nic wspólnego z dzisiejszą taktyką za żądania protestów i rozwodzenia skarg. Protesty używażne być mogą, ale tylko jako środek agitacyjny, skargi zaś mają w sobie coś upakarzającego godność narodu. Hasło: biada słabym! jest oznaką barbarzyństwa, ale nawet na najwyższym szczeblu cywilizacyi wstyd być słabym, a tymbardziej wstyd podawać się za słabego temu, kto czuje, że ma siły dosyć. Trzeba tylko siły drzemiące do życia budzić, ożywione skupiać, organizować, rozwijać. Gdyby połowę tej energii, zmarnowanej w protestacyach niedołężnych, w czynnościach formalnych, zwrócono we właściwym kierunku, do działalności politycznej i społecznej, mającej na widoku zadania realne, do podniesienia poziomu kultury, rozbudzenia życia umysłowego we wszystkich warstwach ludności — rząd i społeczeństwo niemieckie musiałyby się poważnie liczyć z nami, a Ślązacy i Mazurzy nie wypieraliby się już dziś swej polskości.

W Niemczech znaleźć można przykład, stwierdzający nasze zdanie. Stronnictwo socyalno-demokratyczne chociaż jest zasadniczo - opozycyjnem i przez rząd systematycznie prześladowanem, we wszystkich dziedzinach życia rozwija niezwykle czynną działalność i z każdym rokiem wzmaga się na siłach. Polskie stronnictwo narodowe mogłoby również wzrastać i na Śląsku, na Warmii i na Mazurach, a nawet w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiem zdobywać nowe posterunki i zdobycze swoje utrwalać. Bilans lat ostatnich dowodzi, że jesteśmy pomimo strat ogromnych w okresie wzrostu sił narodowych i społecznych, mamy nawet świadomość tego, ale nie przeszła ona jeszcze w uczucie, w wolę, w przekonanie i nie zdążyła oddziałać na rutynę polityczną, wyrobioną w zupełnie innych okolicznościach i warunkach. Trzyma się ta rutyna bezwładnością swoją i tradycyą, jak również instynktowną ostrożnością społeczeństwa, przyzwyczajonego do unikania wszelkich zmian radykalnych. Ale dni jej panowania skończyć się muszą niezadługo.“



— Proszę, proszę... My się wcale nie gniewamy. Nie wiedzieć, za co pan przepraszasz?... i to aż pięć razy — Klepka, prawda, że powiedział aż pięć razy „przepraszam“. Karbuj kozikiem na lasce ile tego jeszcze będzie.

Szołomiejski traci wreszcie cierpliwość zbiega sążnistymi krokami z podniesienia kuRanieckiemu i woła ochrypłym głosem, śmiejąc ze złości:

— Pan jesteś idyota, waryat, półgłówek!

Teraz jednak obraził się i Raniecki. Zaperzył jak młody kogut i podskakując zawołał:

— Coś pan powiedział, co? Ja waryat, ja półgłówek?

— Tak jest powiedziałem, powiedziałem, i jeszcze raz powiadam!

— No, to czekaj, zaraz ja ci powiem! Podskoczył ku mądremu sąsiadowi i zdarł mu okulary z nosa.

— Oto masz waryata, półgłówka!

Przerażony i oburzony Szołomiejski wyciąga ręce naprzód i porywa bezwiednie napastnika za włosy — ten zaś nie tracąc czasu poczyna go boksować obu pięściami w brzuch. Naraz w sali radnej powstaje ogromne zamieszanie. Sąsiedzi dzielą się na dwa obozy, tłoczą się jedni do Ranieckiego, drudzy do Szołomiejskiego, rozdzielają ich, krzyczą, proszą, tłómaczą, uspokajają, wrzeszczą... słowem, czynią taki piekielny zamęt, że tylko jeden Klepka rozpatrzeć się w nim może.

On też rozpatrzył się istotnie. Nie mogąc ze śmiechu ustać na nogach, siadł zdala od placu boju na podyum, wzniósł ręce do góry i trzęsąc rozczepionemi palcami spazmatycznie, huczy w niebogłosy:

— Hu, hu, hu... ha, ha, ha.. huuuu!

Wśród tego Borajski dzwoni wciąż rozpaczliwie i woła bez ustanku:

— Panowie! zgromadzenie dzisiejsze rozwięzuję... panowie!

Atoli słowa jego jeszcze chwilę przebrzmiewają bez skutku. Aż wreszcie szanowne zgromadzenie rozwiązało się samo, gdy przeważne siły sąsiedzkie rozdzieliły zapaśników i wyciągnęły jednego na kurytarz, a drugiego do kancelari pana burmistrza.

W parę chwil potem partya Ranieckiego podążała w najlepszym humorze do Bronarza celem pokrzepienia sił wyczerpanych.

— A co! — wołał bohater dnia, wysuwając się naprzód — stłukłem mu raz przecie te przeklęte okulary. Nim nowe kupi, będzie tydzień siedział i przemyśliwał nad towarzystwem, bo bez okularów biedaczysko czytać gazet nie potrafi, a takich drugich okiennic jak te, nie kupi w całem mieście.

W tym samym czasie przyjaciele Szołomiejskiego odprowadzali go na „nowe miasto.“ A że biedny filozof dla braku okularów nic prawie nie widział, więc go dwaj sąsiedzi wiedli pod ręce. Mimo to Szołomiejski, podobnie jak Raniecki, nie stracił humoru:

— Ale mu dałem! — rezonował flegmatycznie, śmiejąc się basem — jeszcze mam garść włosów między palcami. Popamięta on długo, jak to z Szołomiejskim drzeć koty, ha!

IV.

— Otóż koło szczęścia skończę i pojadę sobie. Koło szczęścia muszę skończyć, bo inaczej nie wypada. Gdybym pojechał naprzykład dziś jeszcze, powiedzieliby, że Smolarz niesłowny człowiek: podjął się roboty, nie zrobił, pojechał sobie, uciekł. Gotowi jeszcze powiedzieć, że Smolarz nie umie zrobić koła, a to nie prawda. Nie, nie, najpierw „koło szczęścia“ dokończę a potem pojadę.

A przecież, jakie to dziwne to koło szczęścia. W tym oto bębnie będą losy. Kółko się puści w ruch. Ono zacznie się obracać, obracać, długo obracać, bo będzie nasmarowane oliwą, aż w końcu stanie. Potem przyjdzie głuchoniema sierota, wsadzi ot, tędy, przez otwór rękę, wyciągnie jedną szpulkę ot, tak... a w tej szpulce jest los, co wygrywa. I któż to wygra ten los? Ha, dajmy na to, że wygra jakiś biedak. I cieszy się zaraz, cieszy... ludzie mu zazdroszczą, ściskają go, cisną się, pochlebiają. A on puszy się i głupieje, rozrzuca pieniądze garścią i myśli, że wielki pan. I czy to jest szczęście? hm. Ot naprzykład, gdy-

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

II.

(Galicya w r. 1867 wchodzi stanowczo na drogę kompromisową. Przyszli Stańczycy występują jako opozycyoniści).

Dobrze robi pan Koźmian (dla siebie) że książkę swoją wydaje w tłomaczeniu niemieckiem.

Niemcy mu uwierzą, (bo rzeczy badać nie będą), że tak zwani Stańczycy wstrzymali naród od nowego powstania, od nowych spisków, że ich szkoła przekształciła całe usposobienie narodowe, że ona wynalazła lojalność względem władzy, że „na jej podstawie powstało stronnictwo polityczne, które nietylko na zakrój umysłów i pojęcia całego narodu znaczny wraz ze szkołą wywarło wpływ“, ale także w części Polski austryackiej „wytworzyło żywotne znaczne warunki bytu narodowego,“ że w ogóle „nauka szkoły stańczykowskiej stała się podstawą, a szkoła w pewnej mierze wykonawczynią nowego systemu w Galicyi.“

Niemiec w to wszystko uwierzy, uwierzą także przyjaciele polityczni p. Koźmiana, bo w wierze tej znajdą dla siebie przyjemność, jaką jest przeświadczenie o własnej wielkości i zasłudze, uwierzą wreszcie ci, co studya swoje nad rozwojem politycznym i narodowym Galicyi ograniczą na przeczytaniu ostatniego rozdziału książki p. Koźmiana. Ale ktokolwiekbądź zechce choćby pobieżnie zapoznać się z historyą Galicyi w ostatnich latach trzydziestu, ten roześmieje się serdecznie ze wszystkich twierdzeń p. Koźmiana i przekona się tylko, do jakich potwornych rozmiarów urość może samochwalstwo, zaufane w tem, że ma na swoje rozkazy kilka pism i kilkunastu literatów i dziennikarzy, z których jedni dla interesu stronnictwa, a drudzy dla przypodobania się stronnictwu, gotowi najoczywistsze bajki za prawdę uznawać oraz ogłaszać.

Możnaby pominąć sprawę przeszkodzenia ze strony Stańczyków wybuchowi nowego powstania i zawiązywania nowych spisków, bo i to jasne, że okoliczności, w jakich znaleźliśmy się po r. 1863, własną swą siłą udaremniały podobne eksperymenty. Może była gdzieś jakaś garstka[1]), której się śniła nieprzerwalność powstania, może tu i owdzie ludzie młodzi i niedoświadczeni zawiązywali jakieś osobne organizacye spiskowe, ale były to wszystko dziecińśtwa, których nikt nie brał na seryo i które nie miały po prostu możności sprowadzić wybuchu. Kto nam zaręczy i dziś, że w jakiejś zapalonej głowie nie świta myśl porwania się do broni. Możemy jednak patrzeć na to spokojnie, bo ogół po ciężkich przejściach odstąpił od programu oręźnej i spiskowej walki i żadna siła wprowadzić na tę drogę go nie mogła i nie może. Stało się to samo przez się, bez niczyjej inicyatywy -- stało się, bo stać się musiało, bo najczerwieńsi zrozumieli, że ta broń na dzisiejsze czasy i na dzisiejsze stosunki jest bezużyteczną[2]) Gdyby zaś ogół był innego zdania, to śmiesznem byłoby przypuszczać, aby czterech ludzi spacerujących po bruku krakowskim i do tego ludzi przed laty trzydziestu będacych bez znaczenia, wpływu i stanowisk, mogło ten ogół odwieść od powziętej myśli za pomocą miesięcznika, rozchodzącego się w stu kilkudziesięciu egzemplarzach. W r. 1863 było tysiące takich, co uważały powstanie za rzecz zgubną, a jednak mu nie przeszkodzili, bo byli za słabi. Cóż to więc byłby za spisek, jakaż to byłaby organizacya, którą czterech ludzi bez znaczenia, wpływu i władzy mogłoby unicestwić. Wolne żarty, łaskawi panowie!

Nie! o spisku, o powstaniu nikt na seryo nie myślał. Już w r. 1865 (jak stwierdza w Przeglądzie Polskim Ziemiałkowski) zaczęliśmy się garnąć ku Koronie, kraj monarsze dawał niewymuszone dowody szczerej lojalności, i inni ludzie, nie stańczycy, stanęli na czele tego zwrotu. Teka wyszła dopiero w trzy lata po fakcie dokonanym. Ona tylko formą swoją narobiła sporo hałasu i zamętu, rozdrażniła całe społeczeństwo, które już szło naprzód na drodze spokojnej pracy. Nic budowała niczego, a tylko wywołała wstrętną walkę w społeczeństwie. Nawet Paweł Popiel zarzucał, że „odzywała się w niej struna ironii, która raziła. Nie była chwila po temu. Cel może był dobry; u mnie cel nigdy nie usprawiedliwia środków.“ (Pisma, II 362. „Teka, mówił Popiel, uderzyła w stronnictwo, które do niedawna politycznie trzęsło krajem, (a więc uderzyła w to, co już nie istniało, chyba dla niskiej przyjemności kopania umarłego) a uderzyła z bezwzględnością pogardy, a gorliwością nowonawróconych.“ Biliński, (dzisiejszy minister) zarzucał Tece „niesprawiedliwie i stronniczo nacechowane postacie“; Optymowicza nazywał ohydnym. „Zdrowa opinia“ (pisał Biliński) nie mogła bez zgrozy przyjąć szydzenia z organizacyi i pośrednio ze krwi przelanej... denuncyowania inicyatorów demonstracyi jako złodziejów... musiała potępić sposób traktowania przez Tekę dziejów porozbiorowych[3]).“ W nas, którzy możemy już na nią spoglądać spokojnie, budzi ona jeszcze bądź co bądź przykre wrażenie — bez względu w jakim celu i w jakim kierunku została napisaną. Dość powiedzieć, że w pięć lat po upadku powstania, kiedy jeszcze łzy i rany nie zaschły, odważono się, mówiąc o sprawach publicznych połączonych pewną nicią z niedawną przeszłością, oraz o pewnych objawach patryotyzmu (może niewłaściwych, ale szczerych), wydobyć z arsenału polemicznego drwiny, szykany i humor. Tego rodzaju humor nie uchodzi. Wstrętnym jest dla mnie nawet Koroniarz w Galicyi Lama, bo wyobrazić sobie nie mogę, jak proste uczucie ludzkie pozwolić sobie może na drwiny, na satyrę, potrącając o wypadki tak okro-

[1]) Nawet Teka Stańczyka mówi „o garstce“, jak to później zobaczymy.

[2]) „Wszakże r. 1863 i jego następstwa sprawiły powszechny przełom w poglądach całego narodu“ pisze biograf Ziemiałkowskiego, usprawiedliwiając go, że już w r. 1865 wstąpił na drogę polityki kompromisowej. „Czyżby sam jeden (dodaje) miał uporczywie pozostawać w katakombach?“ Minister Fl. Ziemiałkowski, Kraków 1883 str, 8. — Przytoczę wkrótce stwierdzający to samo artykuł p. Tarnowskiego i wyjątek z Teki Stańczyka.

[3] Biliński. Znamiona polityki narodowej t. zw. Stańczyków. Lwów 1883,

---

bym ja tak miał los, i gdyby naprzykład właśnie ten los wygrał. No, to co ja wtedy na to?... hm. Albo ja wiem. A panna Lola... co na to? Przypuśćmy, że ona wychodzi za mnie. Wychodzi za mnie i jest moją żoną. A choć ona jest moją żoną, to przecież moją nie jest, bo wciąż jeszcze kocha Dynieckiego. I coby z tego było? O, z tego byłoby wielkie nieszczęście. Bo ja wtedy mam inne prawo do niej niż dzisiaj. Wtedy, co jest pod ręką: młot nie młot, laga nie laga, nóż nie nóż... chwytam a biję! Raz tylko, a już leży pan Dyniecki na ziemi i krew z nosa mu się leje... Uh....

Smolarz zgrzyta zębami i piłuje Pilnik zgrzyta również i drze mosiądz; kruchy metal pod silnym naciskiem kruszy się i z brzękiem opada na ziemię. I w tej samej chwili Franciszek powraca do rzeczywistości, wsadza palce za ucho, skrobie się i jest zły na siebie za swą nieuwagę.

Tak to Lola, ta niedobra, a taka dawniej ukochana Lola, już mu niejedną śrubkę w kole szczęścia popsuła. Jak ten mosiądz party za silnie pilnikiem pękł i jest już do niczego, tak i on sam ma obecnie takie nieraz dumania, że mu się zdaje, iż jest już całkiem do niczego; pustka w nim i pustka przed nim. Życie, co go czeka, wydaje mu się proste jak sztaba żelazna, a bezcelowe, jak strzał w błękitne niebo skierowany, gdzie to pocisk ołowiany o nic nie zaczepi i Bóg jeden wie, na czyje pole spadnie...

V.

Lola przychodziła zwolna do sił i po tygodniu lekarz pozwolił jej wstać z łóżka.

Do pokoiku dziewcząt dochodziły często głosy Dynieckiego i Anulki. Słysząc ich rozmowę i śmiechy, Lola z upragnieniem oczekiwała chwili, w której będzie i jej wolno wyjść także do Dynieckiego. Ciekawą była co powie przy powitaniu, jak się zachowa później. Dziś był on już niemal jej narzeczonym, więc powinien być bardzo serdecznym, czułym, kochającym.

Dziś wiedzieli już wszyscy w domu, że będzie on jej mężem. Wiedziała o tem przedewszystkiem macocha i o ile wydawało się Loli, z myślą tą chcąc nie chcąc już się pogodziła.

Do szeregu serdecznych i przyjemnych uczuć, budzących się na myśl o Dynieckim, a urozmaicających Loli nieznośne więzienie w panieńskim pokoju, przyłączało się od czasu do czasu złośliwe uczucie tryumfu nad macochą. Pani Marcysia uszczypnęła ją na zabawie w „Gwieździe“; jeszcze w pięć dni później widoczny był siniec na ramieniu — takiej opieki macierzyńskiej nie zapomina się nigdy. W odwecie uszczypnąć ją moralnie, widzieć jak się mieni ze złości, tego pragnęła Lola z całej duszy.

Pani Borajska, chcąc nie chcąc musiała niekiedy zbliżyć się i usługiwać chorej.

W zachowaniu się Marcysi odczuwała Lola tajoną niechęć i nienawiść, mimo że macocha starała się być spokojną i „dobrą... Dobrą musiała być, wszak tego wymagał lekarz i ojciec, lecz co się tam w jej wnętrzu działo o tem lepiej nie mówić.

Raz, przyniósłszy potrawkę z kurczęcia, usiadła przy łóżku i rozpoczęła rozmowę, z której wynikało, że wie o postanowieniu pasierbicy, jak również wie o przyzwoleniu ojcowskiem i, że godzi się sama na to, a godzi się dla tego, gdyż wszyscy konkurenci Loli, a w ich rzędzie i Dyniecki, są jej zupełnie obojętni.

Zresztą — ciągnęła, kończąc zdanie — wszystko jedno za kogo wyjdziesz, czy za Dynieckiego, czy za Smolarza. I jeden dobry i drugi dobry. Na każdy sposób trzeba myśleć o wyprawie. Muszę pomówić o tem z ojcem, a ty rozmyśl się dobrze i powiedz mi, cobyś chciała mieć na wiano.

Gdyby inna kobieta w ten sam sposób mówiła, byłaby może Lola uwierzyła, że chodzi tu głównie o wyprawę, a nie o Dynieckiego. Ale Lola znała macochę bardzo dobrze i wiedziała, że po za tą wyprawą, poza sztuczną obojętnością, w pani Marcysi złość kipi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



pne, tak straszne, i to w kilka lat po nich. Takie drwiny, taką satyrę, taki humor jak w Koroniarzu i w Tece, należało zostawić Niemcom i Moskalom. Teka wreszcie nie stawiała żadnego programu, była, jak mówi Popiel, działaniem negatywnem. Pisząc o Szujskim (w r. 1885) tenże sam Popiel mówi wyraźnie, „że Szujskiego ze stańczykami solidaryzować nie należy; był stańczykiem, ale był czemś więcej, nie ograniczył się na działaniu negatywnem.“

A kiedy już potrąciłem o artykuł Popiela o Szujskim, Popiela, którego przecież stańczycy uważali za swego nestora, który też im nie szczędził pochwał i bardzo gorącej sympatyi, warto się przypatrzeć jak ten człowiek, który był chodzącą kroniką spraw galicyjskich i brał w nich udział wybitny, zapatruje się na powstanie polityki ugodowej, tej, którą to mieli według p. Koźmiana stworzyć Stańczycy.

Przedewszystkiem zaznacza Popiel, że „ani Wielopolski jak chce Lisicki, ani Szujski jak chcą Koźmian i Boorzyński (dziś po napisaniu Rzeczy możnaby dodać: ani Koźmian, jak chce Koźmian) nie był ojcem konserwatyzmu i polityki obecnej w Polsce.“ „Tylko ani w r. 1848, ani za bachowskich rządów, działanie wspólne, organiczne z rządem nie było podobne, choć już zdrowe, polityczne zasady były ogłoszone i bronione przez ludzi, którzy podówczas nie mogąc działać, gotowali grunt pod przyszłość.“ Ztąd też, kiedy była możność, odrazu wystąpili z adresem w r. 1860, a wypadki lat strasznych do r. 1864 ani na chwilę nie zmieniły ich poglądu i kierunku. Po wydaniu dyplomu październikowego „sejm galicyjski w r 1866 zrozumiał zadanie, a posłowie jak Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Paszkowski, Henryk Wodzicki, Helcel itp. w Izbie, a pisarze jak Mann, Rzewuski, Dębicki itd. w dziennikarstwie i politycznych broszurach wyrabiali tę politykę... Grono to ludzi długo tworzyło tak zwaną partyę krakowską, która przeważne w sejmie zajmowała stanowisko. O stańczykach nie było słychać, bez nich powstało urządzenie gmin i Rad państwowych, ustawy szkólne, a nawet Zarys.“ (II. 358—9).

Stańczycy wówczas, jak mówi Popiel, dopiero „wyrabiali siebie i swoje zasady.... Bobrzyński, a bardziej Stanisław Koźmian tak o stańczykach mówią, jakby od nich dopiero rozpoczął się zwrot opinii krajowej, jakby oni założyli fundamenty zdrowej polityki i wyrobili stronnictwo konserwatywne, politykę t. zw. polsko-austryacką. Tak nie jest“.

Słuchajmy dalej Pepiela. Na sejmie w r. 1866 „powstało pośród walk najważniejszych stronnictwo konserwatywne czyli krakowskie. Ten Sejm założył fundamenta ustroju politycznego i duchowego rozwoju naszego koronnego kraju. Późniejsi stańczycy nie wzięli w nim przeważnego udziału, choć już „Przegląd Polski“ od roku wychodził“.[4]) Tu Popiel wspomina o tem, jak Szujski był jeszcze na rozstajnych drogach, jak z nim polemizował, o czem wspominałem już w pierwszym tomie mojej książki (patrz strona 30 i dalej).

Kiedy Stańczycy nareszcie się ukazali, a było to dopiero w r. 1870, (Teka była, jak już wiemy, drukowana w r. 1869), „żaden człowiek zasad zdrowych, mówi Popiel, nie miał powodu ich się wyrzekać, ale nie koniecznie wchodził do tego ciasnego obozu“, stąd Popiel uważa jedynie za taktykę przeciwników politycznych, iż „polemizując z konserwatystami mieszali specyalnych stańczyków ze stronnictwem krakowskiem i w ogóle z konserwatystami“. Stańczycy bowiem dopiero „odznaczeni w publicystyce, nie tworzyli jeszcze stronnictwa, sporadycznie zasiadali i działali w sejmie jako Krakowianie“. Dopiero kiedy (w r. 1877) Ludwik Wodzicki posiadł godność marszałka, zajęli w sejmie osobne stanowisko. Skutki ich działalności w sejmie tak krótko i węzłowato ocenia Popiel: „Zwarte, wybitne, nie wiem jak to nazwać, może najlepiej bractwo, odrazu chcąc kierować, rozsadziło stronnictwo krakowskie; nie pomogło temu zawiązanie klubu Reformy, zaczęło wolno słabnąć i wpływ tracić, bo zbyt silnie i kanciasto skrystalizowane jądro nie dopuszczało kohezyi składowych części. Krakowianie, albo raczej żywioł, który reprezentowali, słabnął, przestał przewodzić, aż się rozpadł przy kwestyi gminnej. Oto skutek wewnętrzny stańczyków polityki“. Z charakterystyki zewnętrznej ich działalności, podanej przez Popiela, przytoczę późnicj ustęp odpowiedni, a tymczasem zaznaczę, iż Biliński, którego stańczycy uważają za swego, we wspomnianej już wyżej broszurze, choć broni ich od „niesłusznego posądzenia wyparcia się idei niepodległości“, ale politykę ich uważa „co do środków z jednej strony potępienia godną. a z drugiej wadliwą“

4) Myli się tu Popiel, bo „Przegląd“ rozpoczął wychodzić dopiero 1-go lipca 1866 r.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LITERATURA I SZTUKA.

Ze starego miasta.

Pan Johan.

I.

Gdzie Wisła brzeg myje piaszczysty,
Gdzie szychty się wznoszą na „Szuleu“,
Od czasu batalii pod Lipskiem
Pan Johan ma składy budulcu.

Młokosem z Saksońskiej mieściny
Wojenna porwała go fala, —
Pan Johan wędrował po świecie
Z orłami małego kaprala.

W atakach parł konia do frontu
Po karczmach parł z dziewką hołupca,
Nim kartacz potrzaskał mu rękę,
Nim z gida przemienił się w kupca.

Dziś drzewem pan Johan nad Wisłą
Handlowe prowadzi obroty, —
I przylgnął do starej Warszawy,
I przylgnął do polskiej kapoty.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

— Boruto, czy słyszysz? — woła gefrajter Pantanos.

— Cyt, nie tak głośno, obserwują nas odpowiada zapytany.

— Jak tam z twoją raną, boli cię jeszcze? Myślałem doprawdy, że tym razem dosyć ci dali.

— Pali ogromnie. Lecz gdzie, u licha, jesteśmy?

— Sam nie wiem jeszcze dokładnie, jednak w krótce się dowiemy.

— Cóż z nami poczną? — pyta znów pierwszy.

— To pewna, że nas nie ozłocą; znasz przecież tę wściekłą psiarnię — odrzekł Boruta.

— Z oberzniętym nosem i uszami jak szelma dać się wkopać w gorący piasek, albo....

— Albo ku niewiast ich rozrywce być wrzuconym do sillosów — dokończył Boruta. Jedno tyle warte co drugie.

— Kula byłaby lepszą. Cóż? Nic nie wymyśliłeś?

— Łacniej uciekniesz z piekła samego, niż z rąk tych bestyi.

— Czy tam przy tobie jeszcze kto leży? Boruta kiwnął głową przytakująco.

— Lambert, lecz cyt! ktoś idzie.

Wszyscy troje leżeli w namiocie na macie, powiązani powrozami z alfy*). W pobliżu kilka brudnych starych niewiast arabskich siedziało z podwiniętemi pod siebie nogami na ziemi.

Boruta wyszedł w porównaniu do swych kolegów jeszcze najlepiej, uderzenie kolbą ogłuszyło go bowiem tylko, czuł jednak ból głowy okropny.

Pantanos miał przestrzelone lewe ramię, Lambert zaś odebrał cięcie starym tureckim pałaszem przez obojczyk; siła tego cięcia sparaliżowaną została znacznie grubym pasem od tornistra, który w tem miejscu przez ramię przechodził.

Około 20 Arabów nadeszło i poczęto radzić. Boruta, obznajomiony nieco z językiem arabskim, zrozumiał z ich mów tyle, że siły ich zbrojne, przez straty w ostatniej potyczce osłabione, cofnęły się w kierunku pustyni, by tam odczekać posiłków szczepu sąsiedniego. W czasie tych narad rozległy się nagle okrzyki radości, bo oto spodziewany i świeży oddział, z kilku set Arabów złożony, nadciągnął; postanowiono też natychmiast wyruszyć przeciw legionistom.

Tymczasem naszych jeńców wyprowadzono za wieś, gdzie nad krawędzią stromej góry wykute były w skale liczne doły, do zbierania wody deszczowej przeznaczone, owe „sillosy“, o których wyżej wspominaliśmy. Młodzi i starzy, mężczyźni i niewiasty towarzyszyli z ogromną wrzawą orszakowi. Do tych grobów kamiennych wrzucono żywcem Borutę z towarzyszami.

Wstręt ich ogarnął, gdy spuszczeni na dół zauważyli w koło siebie stosy poobgryzanych przez szakale kości ludzkich na dowód, iż nie pierwsi byli w tem miejscu.

Zwolna ruch na powierzchni ziemi ustawał, z czego wnosić wypadało, że Arabowie się oddalili, natomiast około tuzina bab arabskich zeszło się nad otworem lochu, przypatrując się i szydząc z jeńców.

Mijały godziny. Pantanos leżał w jednym kącie i spozierał obojętnie na kości bielące się ofiar dawniejszych, na których tu i owdzie resztki ciała jeszcze gniły. Boruta siedział po drugiej stronie, darmo rozmyślając nad planem ucieczki.

Nadeszła noc. Brzydkie niewiasty Arabów nie odchodziły i trzymały formalnie straż przy więźniach, luzując się nawzajem. Poczynało świtać. Słońce roztoczyło tarcz swą ognistą, zapaliło ziemię i po długich godzinach żaru piekielnego, znów ku zachodowi chylić się zaczęło. Więźniowie cierpieli męki piekielne.

*) Alfa, znany gatunek trawy, służący do wyścielania.

II.

Wnet oczy i serce saksońskie
Warszawska zęciła niewiasta:
Posażną Gilównę szewczankę
Pan Johan z Starego wziął Miasta.

Dozgonne z nim zawrzeć alianse
Mieszczańskie wzdragało się dziecię,
Aż Gil rzekł: „Człek dobry, choć Niemiec!
Ty głupia! spolaczysz go przecie!“

Wesele, jak Pan Bóg przykazał,
Odbyło się hucznie aż miło —
I tylko — z nadmiaru czułości —
Dwóch szewców mu ślepie podbiło.

Jak bela się urznął pan młody,
Do butel szturmując fortecy, —
Nie piły tak gidy cesarskie
Jak piją warszawskie szewiecy.

III.

Pan Johan skład z domkiem na Szulcu
Odprzedał syt targów codziennych;
Dziś w rynku trzy schludne ma izby
W domostwie „przy schodkach kamiennych“.

Do ziemi się chyli pan Johan,
Osrebrza mu głowę siwizna.
Dni dziadka rozjaśnia wnuk z wnuczką
Po synu-jedynym spuścizna.

Choć lutra ma wnuka pan Johan,
Dla wnuczki on chadza do Fary.
„Bóg jeden — powiada — jest w niebie,
Bóg ludzi z serc sądzi, nie z wiary.“

Co tydzień z wnukami na cmentarz
Wędrują w odzieży od święta:
W cylindrze, w nankinach i w fraku,
Co Księstwo Warszawskie pamięta.

IV.

Od fajki i „dziejów Cesarstwa“,
Jak dawniej od tarcic i belek,
Pan Johan wyrusza co czwartek
Na piwa saskiego kufelek.

W traktjerni wesoło i gwarno
Od ciętych polemik i krytyk, —
Wśród majstrów i kupców rej wiedzie
Pan Johan wytrawny polityk.

Pan Johan i słowem i gestem
Gadaczy to chwali, to gani —
„Ja *ale* wam powiem jak było!...
Panienko! Dla całej kompanii!“

V.

Nędzarze wracają z roboty
Mrze słońce pół złote pół krwawe —
Pan Johan drajkenig ćmi z fajki
I patrzy na wnucząt zabawę.
Na wnucząt zabawę on patrzy,
A wieczór wspomnienia mu niesie
O wielkim cesarzu Francuzów,
O Ney'u, Massenie, Lannes'ie.

A kiedy tak duma pan Johan,
Za rękaw go ciągnie smarkata:
„Niech dziadzio nam piosnkę zaśpiewa,
Nim lampę zapali Agata...“

Na starca kolanach zuch Tadzio
I Zośka wdrapuje się mała —
Pan Johan im śpiewa piosenkę
O Wandzie, co Niemca nie chciała...

Or-ot.



Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

ODCZYT
adw. **Bernarda Chrzanowskiego**
wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.

(Ciąg dalszy).

I oto najpierw na czele wszystkich tęskniących i z tęsknoty tworzących staje sam Adam Mickiewicz. Możemy pominąć czas przedemigracyjny n. p. taki sonet „Na stepach Akermanu“, kiedy Mickiewicz charakteryzuje ciszę stepu tak głęboką, że „słyszałby głos z Litwy....“ możemy pominąć wszystko, mając przed sobą „Pana Tadeusza“. Powstał on pod wpływem marzeń o kraju i rozmów z przyjaciółmi.

„O czem tu dumać na paryzkim bruku?“

— skarży się Mickiewicz w wierszu, poprzedzającym poemat:

„Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie
Z kilku przyjaciół siadłszy przy kominie
. . . .
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów
I dumał, marzył o swojej krainie“.

W liście do Odyńca z dnia 23 maja 1833 pisze:

„Żyję tedy w Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, żydami. Rzadko gdzie wychodzę, ciągle chodzimy i gawędzimy z Witwickim, ...czasem z Zaleskim. Gdyby nie poema, uciekłbym z Paryża.“

A w wstępnych słowach „Pana Tadeusza“ mówi:

Litwo Ojczyzno moja . . . .
. . . . Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, *bo tęsknię po tobie.*

Bezwątpienia, gdyby nie było emigracyi i tej łagodzonej towarzystwem przyjaciół tęsknoty, nie mielibyśmy „Pana Tadeusza“. Tęsknota, choć ukryta za poematem i niewidzialna, przejawia się w każdym wierszu, w całej tego poematu piękności. Zdaje mi się, że w kraju, na Litwie napisany ten poemat, jeżeliby wogóle mógł tam powstać, nie byłby odziany w ten dziwny urok, jaki w nim widzimy.

Tego największego z naszych pieśniarzy, chociaż się skarży razem z Morlachem, który poszedł do Wenecyi, że w tem obcem mieście

..... czuje w chlebie powszednim truciznę,
w powietrzu darmo szuka odetchnienia.

że jest

.....jak mrówka wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie,

nostalgia mimo to nie roztkwiliła, ale natchnęła do wyśpiewania spokojnej, olbrzymiej, najpiękniejszej o straconym kraju pieśni.

To samo stało się z Juliuszem Słowackim. Cały on stęskniony za rodzinnym krajem, wspomina go wszędzie. Nie ma bodaj listu do matki, w którymby ten smutek się nie odezwał. Szereg cały strof w Beniowskim potrąca o okolice, gdzie Ikwa płynie. Z myśli i uczuć, że te „lotne w po-

---

— Wody, wody, królestwo za łyk wody! Z oczami w słup wywróconemi leżała trójka na dnie bez pokarmu, bez napoju, błagając nieba, by śmierć rychło nadeszła.

W tem ujrzał Boruta w dość znacznej wysokości jamę w skalistej ścianie i promień nadziei błysnął na jego twarzy. Obgryzione resztki kości ludzkich w lochu, jama i wycie szakali nad głodnymi się rozlegające, wszystko to razem z szybkością błyskawiczną przemknęło przez głowę i zespoliło się w gotowy plan ratunku. Lambert rozgniewany do żywego grymasami i szyderstwem niewiast arabskich nad otworem sillosu, chwycił za kamień spory i z wytężeniem wszystkich sił cisnął go w górę prosto w twarz jednej z tych ludzkich hyen, ktora z głośnym okrzykiem zalana krwią się przewróciła. Powstał ryk i wycie w zgrai czatujących niewiast, a zaraz potem gęste bombardowanie kamieniami na legionistów naszych. Boruta skinął na towarzyszów. Przyczajeni do ścian swego więzienia, pokryci formalnie kamieniami, leżeli bez ruchu. Prócz kilku guzów, deszcz kamienny nic im nie zrobił. Zwolna nadeszła znów noc i kobiety z dziećmi rozeszły się, nie zostawiając tym razem straży przy sillosach.

— Wreszcie! — wyjęknął Boruta, który ze swego zakątka mógł widzieć otwór sillosu — jutro już byłoby za późno.

Lambert i Pantanos spojrzeli zdziwionemi oczyma.

— Czyś znalazł jakie wyjście? — zapytali równocześnie.

— Musimy natychmiast uciekać — odparł Boruta.

— Lecz jak wyjść z tego lochu?

Boruta wskazał na jamę boczną.

— Niepodobna, nie dostaniemy się tak wysoko.

— Sprobujmy.

Daremne wszelkie wysiłki. Wstąpiwszy na barki swych współwięźniów, mógł wprawdzie Boruta ręką dostać do jamy, nie było jednak podobieństwa wspiąć się do jej wysokości po pochyłych ścianach „sillosu“. Tyle tylko mógł zauważyć, że jama ta na 3 metry długa, prowadziła aż do powierzchni ziemi, używana snać przez szakale jako boczne wejście do lochu. Rozczarowani usiedli znów wszyscy w przykrej zadumie. Tak blisko być wolności, a nie módz przebyć ostatniej szranki dzielącej ich od niej.

Nagle wstaje znowu Boruta, wiąże do jednego końca swej „ceinture“ piszczel poobgryzaną, do drugiego zaś pas Lamberta i jeszcze raz wzywa towarzyszów, by go w górę unieśli. Z głodu i wycieńczenia ledwie na nogach stojący, wznoszą Borutę z wytężeniem sił ostatnich ku jamie. Boruta sili się, by rzucić piszczel jako kotwicę w głąb jamy, w nadziei, iż uda mu się zahaczyć ją gdziekolwiek nad brzegiem. Nareszcie po bezskutecznych kilku wysiłkach piszczel zaparła się widocznie o czerep skały, bo pas wyprężył się i z jamy wyciągnąć się nie dał. Z niewymownym sił ostatnich natężeniem udało się wreszcie Borucie wydobyć się na wierzch lochu. Przez kilka minut poił się z rozkoszą orzeźwiającem powietrzem nocy pogodnej. Rzeczywiście, pomiędzy pokładami skalnemi znajdowała się warstwa żwiru, a przez nią utorowały sobie drogę szakale, idąc za wonią gnijącego ciała ludzkiego, by dostać się na spód sillosu, zkąd dzięki swej kociej zręczności po spożytej uczcie znów na powierzchnią ziemi z łatwością wracały.

Jama kończąca się tuż przy gęstym krzu kaktusowym na stoku pagórka stała się ocaleniem dla więźniów. Śladem Boruty poszli Pantanos i Lambert.

Byli wolnymi. Tak, wolnymi, lecz cóż teraz wypadało począć? W pośrodku pustyni, umierający z głodu i pragnienia, otoczeni dzikiemi plemionami arabskiemi, dokądże udać się mieli! Każdej chwili wpaść musieli w ręce barbaryńskich hord.

Wytchnąwszy nieco ruszyli ku nizinie, omijając jak ognia osad arabskich, których bliskość psów szczekanie już zdala im zdradzało.

Na szczęście usłyszeli niebawem szelest wody, najpgdyby po kamieniach spadającej wody, jak rzód ciszej, potem wyraźniej; był to istotnie szmer strumyka, który z gór skalistych płynął ku równinie.

— Bogu dzięki! Woda!

Nowa chęć do życia i otucha wstąpiła w serca uciekających, gdy zaspokoili pie-

wietrzu bociany“, które na wielkiem morzu widział, „znał kiedyś na polskim ugorze“, że jest „jak pielgrzym, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu“, że „okręt jego nie do kraju płynie, płynąc po świecie“, powstał „Hymn pisany o zachodzie słońca na morzu przed Aleksandryą“. Głęboka tęsknota za krajem, połączona z odczuciem cierpień syberyjskich wygnańców natchnęła mu „Anhellego“, a w nim ten piękny piąty rozdział, kiedy to Szaman wątpiącym, czy jest w nich jaka dusza, i wołającym cudów wygnańcom ukazuje duszę Anhellego.

„I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach“.

„A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.“

„Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła“.

„I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku“.

A gdy zbudziwszy się, zapytał się Anhelli, co uczyniła jego dusza będąc wolną,

„Odpowiedział mu Szaman: oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca i uciekła tam w tę stronę, jak człowiek, który się spieszy“.

„A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać mówiąc: oto chciała *powrócić do ojczyzny*“.

Obok tych dwóch wielkich poetów staje Chopin, którego muzyce dała życie tęsknota a po za nimi cały szereg mniejszych przez nostalgię nawiedzonych pieśniarzy.

A jak dla Mickiewicza Litwa, dla Słowackiego wołyńskie okolice Krzemienieckiej góry, tak dla Zaleskiego Ukraina, dla Gosławskiego Podole, dla Lenartowicza Mazowsze są z okolic ojczystych najwięcej utęsknionemi. Gosławski nie był wprawdzie na emigracyi na obcej ziemi, lecz wygnany z rosyjskiego zaboru tułał się tylko w Galicyi, ale było to dla niego tułactwo może i sroższe, bo nie miał rzeczywiście gdzie głowy skłonić i skonał w austryackiem więzieniu. Do wymienionych trzeba nam jeszcze dodać Siemieńskiego, Witwickiego i Gaszyńskiego. Wszyscy oni żyją i piszą na tułactwie.

Zaleski skarży się, że „cudzy kraj to dom macoszy“

„Nie ma tutaj czego trzeba:
Błękitnego nie masz nieba!
Nie masz jasnych naszych wód!
Bracia błądzą teraz smętni,
Nigdzie serce nie odtętni,
Z każdej piersi wieje chłód.
(„Śpiewna zmora“.)

Wiatr wiejący nad Sekwaną szepce mu zaraz „wieść od lubych stron“; każe mu więc „zawrócić z dumką na rodzinną wieś“, pocieszyć starców w Tetijowie, Wołodarce,

„Po nad Bohem, do Berszady
Pozdrów sady i liwady
I o kilka staj
Zofijówkę tam i Humań,
Gdziem na puchu rannych dumań
Podlatywał w raj.
(„Na wiatr.“)

W Fontainebleau brnąc między wrzosy i paprocie i „nucąc ojczystą dumkę po cichu“ miewa wizye i widzi nagle kraj kochany:

„Pojrzysz — przed nami wzdłuż przestwór siny —
Step i na stepie Dniepr w skały pluszcze —
Dwa morza — Tatry — znowu równiny,
Piastowe Gopło — litewskie puszcze“.
(„Angelus“.)

To samo znajdziemy w wierszach „W oman żórawi“, „Do Gęśli“, „Śpiewak tęskniący“, „Okolice alpejskie“, „Żóraw“, „Nastrój“, „Do współtułaczów“ i niezliczonych innych.

Gosławski opisujący w największym swym poemacie „Podole“ Smotrycz, oblewający w koło opokę „co dźwiga Kamieniec“ i podolskie lasy! góry! pisze:

„Jakiś urok niepojęty
Myśl wśród was wybujałą wiecznie do was wiąże,
Przez odłogi pamiątek, przeszłości zamęty
Duszą was utęsknioną wiecznie do was dążę“.

Lenartowiczowi znów potrzeba do szczęścia:

„Kraju, gdzie łuczywem świecą,
Gdzie się w niecce człek kołebie.
Gdzie zawłóczy myślą pole,
Na mogiłkach pieśni śpiewa,
Całe życie łzy zasiewa
A zbiera niedolę.“
(„O kraju“)

Według niego już i wędrować po wielkim świecie nie dobrze i

„lepiej na małej siedzieć zagrodzie
. . . .
I wciąż na jedne patrzeć obrazy,
Na staw szeroki, na brudne głazy,
Gdzie ludzie wodę wiadrami biorą,
Bydło poryka i chusty piorą.“
(Św. Franciszek á Paulo)

a cóż dopiero być wygnańcem tułaczem!

W każdą więc noc bezsenną widuje

. . . . . . tę równinę plenną
Zagonów zbożem śpiewających złotem“,

i marzy o swem Mazowszu, a marzenie to odbija się znów w jego poezyi. Znajdujemy je w wierszach „Jak to na Mazowszu“, „Pieśni gminne“, „Na liść kalinowy“, „Zwiędłe liście“ i tylu innych lekkich i nastrojonych na poważniejszą nutę, a malujących boleść i smutek wygnańców.

Podobny nastrój spotykamy i u Siemieńskiego; nie jest on tam jednak tak powszechny jak u Zaleskiego lub Lenartowicza, a przytem połączony z lekką tendencyą do politycznych stosunków. (Zobacz np. wiersze „Za czem wzdychasz“ lub „Do Renu“) Podobnych wreszcie smutkiem wygnańczym owianych jest dużo wierszy Witwickiego, a nakoniec prawie cała poezya Stefana Gaszyńskiego.

Wymieniam go na końcu, choć jest on, zdaje mi się, najwięcej typowym poetą wygnania, i to prawie jedynie poetą wygnańczej tęsknoty. Jego jest też ten znany wiersz:

„A znasz ty ten kraj, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem:
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
Och! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę!

---

kielne pragnienie i korzeniami ziół nad ruczajem bujnie rosnących zapchali pusty żołądek. Idąc biegiem strumyka dotarli po kilku kilometrach do większej rzeczułki, a chcąc wszelkie po sobie pozacierać ślady, biegli ustawicznie jej korytem i dopiero po kilkugodzinnym marszu zmienili kierunek, dążąc po suchej ziemi dalej i dalej. Gwiazda polarna służyła za kompas. Wiedzieli oni, iż wciąż na północ iść trzeba, by dojść do osad francuzkich. Raz jeszcze wodą usta odwilżyli i poszli za drogoskazem na gwiaździstem niebie. Już drugiego dnia jednak pragnienie od nowa dawać się zaczęło we znaki, a w okół sucha pustynia. Dnia trzeciego ze zmęczenia ledwie na nogach ustać mogli, a tu już od samego rana cel ich najbliższy podróży, góry wyniosłe, ciemnym się znaczyły pasem na horyzoncie. Nadszedł wieczór. Z ostatnim wysiłkiem wlekli się dalej, wreszcie o późnej nocy napotkali oazę na wzgórzu średniej wysokości. Pokrzepili się i wnet sen głęboki zamknął im powieki. Któż jednak zdoła opisać ich przerażenie, gdy o świcie ujrzeli w oddaleniu kilku set metrów burc namioty Arabów. Z największą ostrożnością przemknęli się ku dolinie, która ich pochód zakrywała przed oczyma wrogów. Po chwili zauważyli tuż przed sobą stadninę pasących się koni, ogrodzoną prymitywnym płotem. Nowa myśl błyska zmęczonym przez głowy. Konie wszystkie były okulbaczone, lecz rozkiełznane, a cugle od trenzli pozawięzywane nad karkiem pięknych zwierząt, dozwalały pełnej krwi rumakom skubać swobodnie zieloną trawę. Snadź, należały one do jeźdźców arabskich, którzy biwakując w pobliżu, gotowi byli każdej chwili siąść na koń i pogonić wedle potrzeby, czy przeciw nieprzyjacielowi, czy też cofnąć się przed przeważną jego siłą w razie nagłej napaści. Straży przy koniach dojrzeć nie było można, niezawodnie spała bezpiecznie. W okamgnieniu byli nasi legioniści w posiadaniu trzech szlachetnych zwierząt. Wyprowadzili je cichaczem, dosiedli co żywo i rozpoczęli niezwykłą jazdę. Ale niestety, straż tętentem kopyt zbudzona, alarmuje obóz i lotem błyskawicy około 50 Arabów dosiada swych biegunów i puszcza się w pogoń.

Szalona to była jazda. Boruta i jego towarzysze zachęcają konie słowem i czynem do pospiechu; Arabowie wśród okrzyków, ryku, klątw i groźb, gdyby uragan pędzą za nimi.

To w górę to na dół lecą dalej a dalej, aż znów nic tylko piasek suchy ich otacza. Odstęp między zbiegami a pogonią pozostaje z początku przez czas pewien równy; mniejwięcej pół kilometra za legionistami gonią Arabowie, których białe burnusy w powietrzu powiewają.

Już godzin kilka trwają te wyścigi. Znać po tej zaciętości, że Arabowie na wszystko w świecie postanowili schwytać legionistów. Oddalenie widocznie zmniejszać się poczyna.

W krytycznej chwili przypomina sobie Boruta, że Arabowie, chcąc konia do ostatecznego nakłonić pospiechu, mają znak szczególny. Zarazem też wiedział, że nie używają tego znaku przy ściganiu zwykłego zbiega, gdyż często bardzo ginie wśród szalonej gonitwy koń cenny, który dla nich bez porownania więcej przedstawiał wartości od jeńca lub niewolnika, choćby nim był i najzaciętszy nieprzyjaciel. Dowiedział się o tem swego czasu od pewnego Araba w zamian za wyświadczoną przysługę. Włożył zatem palec w usta i zagwizdnął dziwnie przeciągle i głośno. Konie osadziły się na moment w miejscu, zatrzęsły na całem ciele i poczęły strzydz uszyma. Nastąpiło drugie i trzecie gwiźnięcie. Rumaki zadrżały pod jeźdźcami, sfolgowały na chwilę w biegu, dały ogromnego susa i uderzyły szalonym galopem przez pustynię. W krótkim czasie zostawili prześladowców daleko po za sobą, zbliżyli się znacznie ku górom i stracili z oczu pogoń rozhukaną. Lecz wierzchowce już pod jeźdźcami dzeć zaczynają, biała piana z ust im się dobywa, a jednak lecą dalej z piekielną szybkością. Wreszcie dwa konie padają bezsilnie na ziemię, a trzeci mechanicznie tylko cwałuje naprzód. Zeskakują wszyscy i pieszo już dążą do lasku daktylowego, który w oddaleniu im się uśmiecha.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

I nie będę szczęśliwy
Aż te sioła te niwy
Jeszcze raz choć zobaczę."

A chociaż przyznaje nawet, że „obca ziemia nam dotąd nie była macochą" choć „znalazł i przyjaciół, co umieli rozpędzić łzę cieknącą z powieki" („W imienniku"), mimo to nie opuszcza go myśl

„. . . . . o rodzinnej okolicy,
Gdzie modrzew się przegląda w kryształach Pilicy"

i męki wygnania wydają mu się tak wielkie, że bierze za złe Dantemu, że

„....zapomniał dać miejsce dla tych w swoim Raju,
Którzy, jak on wygnani z rodzinnego kraju,
Wycierpieli na ziemi wszystkie męki piekła."

Wszystko też, listek cyprysu wysyłany do kraju („W imienniku — Nieznanej Polce"), dźwięk posłyszanej mowy ojczystej („W imienniku — Polce Pannie Anieli M.") jaskółki lecące z zachodu („Jaskółki"), pożegnanie z przyjacielem, wracającym „w polską krainę" („Pożegnanie"), wszystko, nawet gdy leczy tę tęsknotę tym powszechnym znanym środkiem leczniczym: miłością (Powrót miłości), to nawet „chwilka szczęścia i rozkoszy" przy kochance wywołuje widmo ojczyzny („Widmo ojczyzny"), a z nim tęsknotę, która „płoszy przelotną radość".

Wszyscy wymienieni — to poeci emigracyjni; tęsknota ich zrozumiała dla nas. Tak jest jednak panowanie tego uczucia potężnem, że przechodzi ono i na tych, którzy na swojej pozostali ziemi; motyw nostalgiczny jest jak gdyby modnym w owych czasach. Taki Zmorski np. skarży się:

W obcej zimnej ziemi
Pomiędzy obcemi
O jak nudno, smutno płynie czas!
Fale wy perłowe!
Wisły piaski płowe!
Kiedyż? kiedyż ujrzę znowu was?

skarży się, jak gdyby na prawdę był wygnańcem i nie mógł wrócić do kraju, chociaż nikt go nigdy na wygnanie nie posłał. — To samo Tomasz Padura, chociaż Ukrainy i Wołynia nie opuścił, poświęca swoje „Mandrywki" tęsknocie i „Wędrowiec" jego idzie „tęskny i milczący", a tęsknota w ślady za nim, bo „ani tu słońce tak świeci, nie tak tu kwiat rozkwita", jak w tej stronie dalekiej „gdzie w serce idzie mowa rodzinna." — Syrokomla wreszcie tworzy cały duży poemat, którego treścią nostalgia: „Janka Cmentarnika". Taki to dziś niesłusznie zapomniany poeta, że trzeba mi chyba przypomnieć treść tej jednej z najpiękniejszych gawęd Kondratowicza. Oto przed pięćdziesięciu laty żył w jednej z wiosek Litwy młody, wesoły chłopak, w którym wszyscy widzieli brata, a który sam

„Kochał swą wioskę, chlubił się wioską
. . . .
Kochał swe pole i sianożęci,
Kochał rzeczułkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie".

Z tą miłością rodzinnej ziemi dobrze było między swojemi Jankowi, póki go nie wziął ze sobą pan bogaty na służbę — aż pod Karpaty. Dobrze mu było i na dworze pana, tylko cóż kiedy Bóg przeszłości zapomnieć nie da,

„Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi
Posyła naprzód do tamtych ludzi".

tęsknota jak kara boża wpiła mu się w duszę i jak choroba nieuleczalna trapić go zaczęła.... Poczęto gadać o legionach.... Janek poszedł z lancą w żołnierze i był pod Wagram i pod Madrytem; cóż kiedy

„W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania!"

Idzie nareszcie z dyktatorem Gallów zburzyć Kremlu stare wieżyce. Już przebył Niemen, już przyszedł do Kowna — serce — zda się — nie zmieści mu się już w piersiach, bo teraz chyba przecież swoich zobaczy! Cóż, kiedy pułki z Wilna muszą ruszyć na prawo i minąć Jankową wieś... W powrocie z wyprawy nie może znów opuścić rannego pana, a w domu nie może chorego odstąpić. Dopiero, kiedy pan spoczął w mogile, idzie Janek jak pielgrzym szukać swej rodzinnej wsi, znajduje ją, ale cóż, kiedy zmienioną, a ludzi innych, obcych, nieznanych; więc jak szaleniec chodzi na cmentarz gwarzyć ze zmarłymi.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy tej gawędzie, choć nie należy do poezyi emigracyjnej. Zbliżona jednak do niej tak bardzo! A przytem jest ta prosta gawęda w literaturze ówczesnej jedyną próbą przedstawienia psychologii tęsknoty. Jako taka w duchu roman yzmu pojęta jest ona nadzwyczaj ciekawa, szczególniej, gdy ją dla porównania stawimy obok w duchu realistycznym napisanych szkiców Szymańskiego. — Bije wreszcie ta gawęda, mojem zdaniem, całą nostalgiczną lirykę emigracyjną. Liryka ta — przynajmniej to bowiem otwarcie — przy całym wdzięku nie jest wolną od maniery; tęsknota wydaje się tam często nieszczerą, sztuczną, a wiersz, choć piękny formą, zostawia nas zimnymi. Zdaje nam się nieraz, że poeta stroi się tylko w tęsknotę. Ci poeci emigracyjni nadużywają wreszcie tego motywu nostalgii. Prawda, że był on dla wielu może najbliższym, ale mogliby go używać dyskretniej. Podczas, kiedy dla Mickiewicza jest on tylko źródłem tworzenia, jest on dla nich także i treścią samą!

(Dokończenie nastąpi).



Notatki paryzkie.

(Tłusty wół. — Nowość teatralna. — Goncourt przeciw Akademii).

W czasie tegorocznych dni zapustnych, Paryż ujrzał po raz pierwszy od lat dwudziestu pięciu, to jest od upadku cesarstwa we Francyi, karnawałowy orszak „Tłustego wołu", orszak złożony z licznych tryumfalnych wozów zaludnionych alegorycznemi postaciami. Prócz hałaśliwej muzyki amatorskiej, towarzyszyły orszakowi wesołość, śmiech i dowcip wrodzony francuzom. Tłumy zalegały ulice, bawiono się wśród tumanów różnokolorowych confetti i wstęg papierowych, rzucanych ze wszystkich okien i ze wszystkich rąk. Karnawałowa zabawa odnawia się zwykle w Paryżu w dzień półpościa. Dzień to uprzywilejowany paryzkich praczek, które wybraną z pomiędzy siebie „królowę piękności", uroczyście obwożą po mieście w szatach królewskich, z koroną na głowie, jak to opisał Emil Zola w swej powieści „l'Assommoir". W tenże dzień od lat kilku dzielnica łacińska, (quartier latin) zaczęła urządzać kawalkady mniej lub więcej wspaniałe i dowcipne, a tegoroczne półpoście ujrzało wiedziony przez studentów pochód „Chudego wołu", symbolizować mającego skromne życie studenckie, o pustych zwykle kieszeniach, niemających czem płacić za tłuste pieczenie. W Quartier latin, dokoła starożytnej Sorbony i pięknego ogrodu Luksemburskiego, zamieszkuje młodzież uniwersytecka, zaś na drugim krańcu Paryża, wprost na północ, tuż przy fortyfikacyach, wznosi się najwyższe paryzkie wzgórze, la Butte Montmartre, stanowiące ulubioną dzielnicę młodych malarzy, poetów, wogóle artystów. Ci nigdy nie manifestowali w dzień półpościa, wszakże w tym roku pobudzeni bulwarową kawalkadą „Tłustego wołu" i emblematycznym „Chudym wołem" z dzielnicy łacińskiej, zawiązali komitet pod przewodnictwem Adolfa Willette'a, słynnego malarza a przedewszystkiem rysownika, posiadającego oryginalny talent pełen niezrównanego wdzięku, poezyi i głębokości myśli. Willette filozofuje w najdrobniejszych nawet rysunkach, nawet bawiąc się i urządzając przedstawienia w teatrzykach kawiarnianych, obrany przez kolegów na prezydenta kawalkady w w ulubionej swej dzielnicy Montmartre, oświadczył, że to będzie „la vachalcade", a bohaterką jej „la vache enragée", której mlekiem i mięsem żyje, przymierając z głodu, rzesza młodych artystów i pisarzy. Na nieszczęście, deszcz padający przez cały dzień w półpoście popsuł oczekiwany efekt tej uczty artystycznej, jaką był orszak zorganizowany przez Willette'a i jego kolegów. Muzy, Poezya, Geniusz sławy, Szczęśliwa gwiazda, Galia, Piosenki, Kolombiny — drżały z zimna w lekkich będąc strojach, drżeli wszyscy prócz „Wściekłej krowy", bo była malowana. Dla pokrycia kosztów urządzonego orszaku, w którym brały udział setki kostyumowonych postaci, Willette wydał ilustrowany, kilkunastostronnicowy zeszyt pod tytułem „La Vache enragée", tekst przeważnie stanowią enterviewy. Na postawione pytania znakomitościom, opływającym dziś w dostatkach, co myślą o „Wściekłej krowie?... i czy długo się z nią borykali za młodu?... odpowiadano wogóle przychylnie, bo przez pryzmat dalekich wspomnień. Alfons Daudet: „Vive la Vache enragée!" Natomia-t Henryk Rochefort: „Vilaine bête, dont je n'ai que trop mangé!" Emil Zola: „Chcielibyście zapewne, bym powiedział coś dowcipnego albo wesołego? Lecz ja tego nie umiem. La Vache enragée! Ależ to apologia nędzy, apologia walczącej i broniącej się nędzy.... Macie racyę, podnosząc ten temat. Nędza, prawda, że dokuczliwą jest gospodynią, lecz chociaż suche, twarde i nieliczne wydziela kromki, chleb jej jest wzmacniający! Nie chcę obmawiać nędzy, chociaż dokuczyła mi niegdyś... srodze dokuczyła... lecz rzadko któremu z nas udało się wywinąć od jej uścisków... a nie narzekam, bo była mi ona bodźcem... gdyby nie nędza, może niebyłbym tyle czasu poświęcił pracy, z którą zżyłem się już potem, bez której nie rozumiem życia". Adelina Patti: „Czem jest „Wściekła krowa", wiem tylko ze słyszenia. Nigdy nie zapoznawałam się z nią osobiście, cóż zatem mogę o niej powiedzieć?..."

* * *

Teatr Renaissance wystawił z powodzeniem dawno oczekiwaną sztukę Franciszka de Curel pod tytułem „La Figurante". De Curel pisał dotychczas niewiele; kilka sztuk zaledwie w przeciągu dziesiątka lat, lecz każda z nich posiada wybitne zalety, stawiające autora w rzędzie najlepszych dramaturgów francuzkich. Pierwsze jego utwory grane były w Théatre-Libre za czasów, gdy Antoine zwracał powszechną uwagę reformami, jakie wprowadzał pod względem gry aktorów, dekoracyi scenicznej, oraz wystawiając utwory nowe treścią, nowe ideałami. „Les Fossiles", pierwsza sztuka Fr. de Curel, była rodzajem satyry wykazującej strupieszałość obyczajów staroszlacheckich, które autor zna dokładnie, jako należący do rodowej arystokracyi. Treść zaś ostatniego utworu Fr. de Curel jest następująca: Henryk de Renneval, młody deputowany, człowiek dążący ku zaszczytom i sławie, jest kochankiem Heleny de Moineville, trzydziesto-

pięcioletniej ładnej kobiety, mającej męża dwa razy od siebie starszego. Pan de Moineville zajmuje się nauką, żonę swą kocha, lecz znosi w milczeniu i z filozoficzną melancholią stosunek jej z Henrykiem, uwzględniając jej młodość. Henryk jest kochankiem Heleny od lat siedmiu, kocha ją, lecz uznaje potrzebę ożenienia się, bo tego wymaga przyszłość jego karyery politycznej. Helena podziela zdanie Henryka i namawia go do wybrania sobie żony, ale żony noszącej tylko ten tytuł, w rzeczywistości zaś chce, by i nadal on tylko do niej wyłącznie należał. Za wspólnem porozumieniem kochanków, wybór pada na Franciszkę, siostrzenicę męża Heleny. Franciszka jest uboga, lecz dobrego rodu, pod względem urody i umysłu jest przeciętną kobietą, zdaniem Heleny, więc zazdrosną o nią nie będzie, tem więcej, że Franciszka będzie tylko „Figurantką“, żoną fikcyjną a nie de facto. Ślub odbył się, Franciszka zawiadomiona o swej roli, zgodziła się na nią, skrycie bowiem kocha Henryka i postanawia zdobyć jego miłość. Wkrótce Helena zazdrosną być poczyna o Franciszkę, która naraz stała się inną kobietą. Z brzydkiej zrobiła się ładną, z biernej istoty stanowczą, dowcipną i niezwykle sprytną. Mąż a raczej żyjący z nią pod jednym dachem Henryk, coraz częściej zasięga jej rady, słucha ją, podziwia a wreszcie kocha i gwałtownie pożąda. Lecz Franciszka odpycha go pod pozorem, że należy dotrzymać warunków umowy, w rzeczywistości zaś opiera się miłości Henryka, bo kochając go, chce, by wpierw zerwał swój stosunek z Heleną. Następuje walka przebiegłości dwóch rozkochanych kobiet. Henryk zaś kocha Franciszkę, lecz nie ma odwagi na zerwanie długoletniego swego związku z Heleną. Wreszcie Franciszka, idąc za radami swego wuja a męża Heleny, odnosi nad nią najzupełniejsze zwycięztwo, skutkiem czego Helena błaga męża, by wywiózł ją z Paryża jak najdalej i na czas jak najdłuższy.

Catulle Mendès, pisząc sprawozdanie z pierwszego przedstawienia tej sztuki, powiada: „Franciszek de Curel może nie w zupełności odpowiedział jeszcze nadziejom, jakie pokładaliśmy w nim po pierwszym jego debiucie w Teatrze Libre, jednakże jego „La Figurante“ pozyskała ze strony publiczności szczere oklaski, wzbudzając żywy entuzyazm. „La Figurante“ jest sztuką napisaną z całą znajomością sceny, treść uprzytomniona jest jasno; charaktery zarysował autor wyraźnie, gra uczuć i cieniowanie ich jest wyborne, dyalogi zajmują, często bawią śmiesznością szych obyczajów, przedstawionych ze ścisłością życiową. Całość sztuki przedstawia się bardzo dobrze, lecz więcej w niej można odnaleść trzeźwości poglądów, aniżeli uczucia, bo pomimo nadających się ku temu sytuacyi, „La Figurante“ nie wywołuje wzruszenia“.

* * *

Po śmierci Aleksandra Dumasa syna, tj. przed paru miesiącami, poczęły krążyć po Paryżu wieści, że Edmund de Concourt postawi swoją kandydaturę w Akademii francuzkiej, by zająć tam fotel po zmarłym słynnym autorze. Dla sprawdzenia tych pogłosek dziennik „l'Éclair“ zapytał Ed. de Concourta, czy ma zamiar przedstawienia się w Akademii, na co otrzymał następującą odpowiedź: Akademia nie potrzebuje mnie, a ja jej nie potrzebuję. Pozostaniemy więc z sobą w dotychczasowych stosunkach. Wiem, że w Akademii mniej można napotkać ciasnych poglądów, aniżeli jest o tem powszechne mniemanie. Pomimo to wszakże, nie chcę do niej należeć. Już w r. 1860 czy też 1862, dobrze nie przypominam sobie daty, lecz po ukazaniu się naszej książki „Marie-Antoinette“, Montalembert zrobił nam oficyalną propozycyę, mnie i mojemu bratu, że jeżeli przestaniemy pisywać powieści, to Akademia przyjmie nas w liczbę swych członków. Nie chcieliśmy się atoli niczego wyrzekać, pragnąc pozostać dowolnymi panami naszej fantazyi i naszych projektów. Bynajmniej tego nie żałuję. Wiem, że już teraz, mając lat 74, nie wiele zdołam stworzyć nowego, lecz cenię moją niezależność i niezależnym pozostanę do końca. Mojem zdaniem stowarzyszenia literackie ujemnie oddziaływują na piszących. Większość członków Akademii, wszedłszy w jej skład, osłabiło swą idywidualność i przestało tworzyć dzieła poprzedniej doniosłości. Tak, pozostanę niewzruszony w mem postanowieniu i nigdy nie postawię mej kandydatury, a ręczę, że Alfons Daudet uczyni to samo, chociaż i jemu czyniono te same co i mnie propozycye.. Tak Daudet jak i ja, zdajemy sobie sprawę, że zapraszając nas do Akademii na wakujące fotele, chciano wywołać manifestacyę, manewrować przeciwko kandydaturze Emila Zoli. Otóż ani Daudet, ani ja, nie jesteśmy ludźmi mogącymi się przyłączyć do tego rodzaju pokątnych działań. Wreszcie kocham moją samotność, kocham moją niezależność, bo tylko w tych warunkach pisarz zachowuje całość swej dumy i swobodę myślenia“.

J. . z.



Z estrady i sceny.

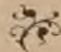
(„Wilk i owce“. Krotochwila w 4 aktach p. Jordana).

Na sobotniej premierze było mało zaciekawienia, lecz dużo śmiechu w teatrze, tj. śmiała się bez ceremonii męzka połowa publiczności, a żeńska zdradzała tylko ochotę do śmiechu. Humorowi Jordana brak oryginalnych pomysłów. Bawi on widzów teatralnych na wzór owych typowych dowcipnisiów, których posiada każda kawiarnia i piwiarnia, i których pożąda każde wesołe kółko lekkiej kawaleryi. Rzadko który z nich jest Heinem, Börnem, a choćby Saphirem drobnego kalibru, brak im do tego inwencyi i subtelności, — mimo to jednak są oni ulubieńcami mało wymagających filistrów, bo posiadają zdolność stosowania à propos starych konceptów na ulubiony temat kobiet, lowelasów, tłustej galanteryi itp. Któżby ich nie znał? Wchodzą do piwiarni i już po drodze darzą kasyerkę pieprzem pikanteryi, potem siadają przy stole i melą wprawnym językiem cnotę panieńską, kawalerskie grzechy i tajemnice małżeńskie. Zawsze to samo, lecz czasem w nowej zaprawie i do nowego aplikowane przedmiotu, — a ponieważ Mikoszjada nie starzeje się nigdy, więc kawiarnia rozbrzmiewa śmiechem wesołym.

Śmiał się również teatr poznański, i gdyby efekt ten rozstrzygał o wartości utworu, to należałby się panu Jordanowi listek wawrzynu a przynajmniej pokłon uznania. Scena jednak ma inne wymagania niż kawalerski kącik w winiarniach, — innej też podlega krytyce autor dramatyczny niż humorysta butelki lub kufla. Nie jestem bynajmniej purystą i nie chcę pióra zamieniać w kropielnicę wyganiającą z teatru wszystko, co tylko trąci zapachem Boccaccia, lecz trudno mi zaliczyć w poczet artystycznych utworów krotochwilę, której humor odznacza się jedyną zaletą tłustości. A gdybyż przynajmniej tłuszcz ten był świeży, gdyby podano go w apetycznej przyprawie paryzkich autorów, — lecz p. Jordan nie ma oryginalnych pomysłów i pianki nadsekwańskiej w skarbnicy talentu swojego. I nie zdradza również autor „Wilka i owiec“ tego nerwu dramatycznego, bez którego każda farsa na scenie jest martwą. Nie komplikuje, nie olśniewa niespodziankami, nie tworzy ruchu w tempie galopowem, śmiałych zawikłań i śmiałych rozplatań węzłów i węzełków. Figury jego posiadają niewątpliwie sporą dozę prawdy i życia o karykaturalnym zakroju, lecz nie kręcą się w wirze krotochwilowym i materyał swój humorystyczny manifestują więcej powieściowo niż scenicznie. Wysnuł wprawdzie Jordan z pomysłu swojego, kilka świetnych, znakomicie podpatrzonych i prawdziwym humorem zabarwionych szczegółów, lecz całość toczy się leniwie w potokach tłuszczu i wody.

Wykonanie było jak zwykle niepewne, chwiejne i pomylone. Ensemble mianowicie błąkał się, haczył i o drogę pytał, a w grze poszczególnych artystów tylko ten i ów moment zasługiwał na poklask gorętszy. Typ wilka, sprytnego rycerza przemysłu, wyzyskującego gromadę łatwowiernych owiec, odtworzył pan Knapczyński z zwykłą elegancyą i finezyą, lecz kolor kreacyi nie był dość soczysty. Wilk był w interpretacyi p. Knapczyńskiego wilczkiem zaledwie. Z innych artystów zasługują na wyszczególnienie p. p. Skirmunt i Królikowski, — p. Berski natomiast nadużył barw karykaturalnych. Reprezentant wilka wysunął niepotrzebnie krotochwilę do wyżyn komedyi, — p. Berski zaś zepchnął farsę do nizin cyrkowych. Z kobiet występujących wyróżniała się elegancyą i subtelną kokieteryą pani Jakubowska, a w epizodycznej rolce małego żydka rozwinęła p. Galińska dużo charakterystycznego zacięcia. Panna Ogińska siliła się na szczerość, — wydobywała jednak z siebie tylko afektacyę.

W. R.



III-ci koncert symfoniczny.

(d. 27 marca rb.)

Artystyczne rezultaty, które orkiestra symfoniczna pod umiejętną dyrekcyą pana Schmidta w stosunkowo krótkim czasie osiągła, są naprawdę zadziwiające. Intonacya w smyczkowych instrumentach zyskała we wysokim stopniu, również nabrały blaszane instrumenty dęte szlachetniejszego brzmienia, oboja i flet zaś znacznej giętkości tonu, tylko klarnet jeszcze nie dopisuje.

Program ostatniego koncertu rozpoczął się Wstępem do Wagnerowskiego Lohengrina; trudności tu zachodzące przerastają jednak siły orkiestry. Za to Geisslera poemat symfoniczny: „Sceny z życia Sowizdrzała“ oddano nadzwyczaj barwnie i charakterystycznie. Andante (con moto) z niedokończonej symfonii Schuberta, wykonane w zbyt wolnem tempie, straciło nieco na swej piękności. Natomiast udatne było wykonanie symfonii Haydna, zwanej oksfordzką, ponieważ kompozytor ubiegając się o tytuł doktora muzyki przy uniwersytecie w Oksfordzie, napisał utwór ten w miejsce dysertacyi doktorskiej. Czajkowskiego „Capriccio italienne“ odznacza się barwną i świetną instrumentacyą a obfituje w prawdziwie piękne motywy. W rytmach ognistych przedstawia się temperament ludowy włoski a w smętnych melodyach maluje nam kompozytor wymownie tęsknotę Słowianina na obczyźnie.

Wszystkie te utwory były starannie przygotowane i poprawnie wykonane.

Edwin Jahnke.



II-gi koncert Aleksandra Piecznikowa

(dnia 26-go marca rb.)

Rychło, bo zaledwie po dwumiesięcznej pauzie, odwiedził nasze miasto powtórnie genialny skrzypek Piecznikow, budząc swą grą

wybitną podobny zachwyt jak za pierwszym razem. Koncert ostatni był nowym, prawdziwym tryumfem artysty, lubo pod względem wszechstronnej doskonałości ustępował nieco styczniowym popisom.

Wieczór rozpoczął się Bazziniego „Allegro de Concert“, który to utwór czy w skutek fizycznej niedyspozycyi artysty, czy też w skutek prawie tropikalnej gorączki na sali, nie wypadł tak idealnie czysto w podwójnych tonach, jak tego po mistrzu tej miary, co koncertant, spodziewać się należało. Chwilami zdawało mi się, że artysta śliczne kantyleny gra więcej dla siebie niż dla zgromadzonych słuchaczy; tyle przesady było w pianissimo. Zakrawało to czasem na szarlatanerię, która stała w sprzeczności z poważnem traktowaniem innych utworów i wogóle wyborem wykonanych sztuk. Allegro koncertowe Bazziniego zaliczyć należy do najświetniejszych i zarazem najcenniejszych kompozycyi popisowych, a Piecznikow dzielnem, mimo różnych usterek, wykonaniem tej kompozycyi wywarł wielkie na zgromadzonych słuchaczach wrażenie. Nie rozumiem tylko, czemu referentowi „Posener Ztg.“ wykonanie tego właśnie utworu tak zawróciło głowę, że porównując koncertanta ze samym kompozytorem i sławnym zarazem skrzypkiem Bazzinim oraz Wieniawskim, doszedł do dziwnego sądu, że wirtuozi ci nie dorównują Piecznikowi ani pod względem techniki ani artystycznego oddania ducha kompozycyi. Krytyk „Posener Tageblattu“ ujęty kilku zresztą bardzo łatwemi flażeoletami, nazywa znów p. P. „phaenomenaler Beherrscher des Flageolets“. To już nie wygląda na krytykę objektywną i rzeczoznawczą, ale raczej na rodzaj reklamy, kosztem innych wielkości i kosztem zdrowego rozsądku. Gdyby krytyk „Pos. Ztg.“ znał I-szy koncert na skrzypce Wieniawskiego, dalej tegoż autora Romances russes, Carneval russe, Faust-Fantaisie, i słyszał z jaką swobodą i artystycznem wykończeniem kompozytor sam utwory te wykonywał, nie spychałby zapewne z tak lekkiem sercem mistrzów tej miary co Wieniawski i Bazzini na niższy stopień artyzmu.

Na liczne życzenia odegrał p. P. sławną Ciacconę Bacha i odsłonił słuchaczom na nowo nieprzebrane źródło prawdziwych piękności tego genialnego utworu. Zawiłe i niewygodne arpedżia i akordy nabierają pod smyczkiem artysty śpiewności i wdzięku, głębokie zaś polifoniczne kombinacye, wypływające z genialnej pomysłowości w łączeniu różnych tematów, wyszły jasno i pochwytnie, a oblane czarem prawdziwej poezyi i głębokiego uczucia uprzystępniły naszemu pojęciu utwór, pisany przed 200 laty nieomal.

Objętej programem „Canzonety“ z koncertu na skrzypce rosyjskiego kompozytora Czajkowskiego nie wykonał artysta. Takich improwizowanych zmian programowych nie uważam za korzystne, bo torują one drogę fatalnym nieporozumieniom tak u publiczności jak i dyletanckich referentów muzycznych. Nieobeznana z literaturą muzyczną na skrzypce publiczność i krytycy poznańscy wysłuchali z całem nabożeństwem Waryacyi Corellego — na programie mianem „Sonaty“ oznaczonych — jako Canzonety Czajkowskiego, lubo artysta wykonał ten utwór już w I-szym koncercie w miejsce na programie oznaczonej „Serenade melancolique“, na co zresztą już w przeszłym referacie zwróciłem uwagę.

Pomiędzy wykonanemi w koncercie czwartkowym utworami wymienia „Dziennik Poznański“ wyraźnie *niewykonaną* Canzonetę. Lepszym jeszcze jest „Kuryer Pozn.“, który biorąc sonatę starego włoskiego mistrza (Corelli ur. 1653 we Fusignano pod Bolonią umarł 1713 w Rzymie) za Czajkowskiego Canzonetę wysłyszał w klasycznych tych waryacyach: *smętne usposobienie słowiańskiemu szczepowi właściwe, które wibrowało w słodkich delikatnych tonach*“.

Dla mnie niespodzianką wielką i zarazem miłą były waryacye starego mistrza Corellego, założyciela pierwszej szkoły skrzypcowej, „rzymską“ nazwanej. Z charakterystycznego starohiszpańskiego tematu wyprowadza kompozytor wiązankę tak pod względem harmonijnym jak i rytmicznym interesujących przemian, posiadających pełną wyrazistości fizyognomię, a pozostających mimo to w naturalnym związku z głównym tematem. Odegranie utworu Corellego po Ciacconie Bacha należy z estetycznych jak i historycznych względów zganić. Jeśli nam p. P. zamierzał dać pogląd na rozwój waryacyi pod względem formy i treści, to powinien był waryacye Corellego najpierw wykonać, ponieważ utwór ten poprzedził Bacha Ciacconę; ale nawet w tym razie nie na wiele by się to przestawienie utworów przydało, ponieważ Ciaccona Bacha wykonaną była w oryginalnym kompozytora układzie, waryacye zaś Corellego w dowolnem, choć efektownem opracowaniu Ferd. Dawida, dawnego profesora przy konserwatoryum w Lipsku (um. 1873); transkrypcya ta daleko odbiega od oryginału i to nietylko w opracowaniu głosu skrzypcowego, w którym się prof. Dawid estetycznych dopuścił anachronizmów, dorabiając pasaże i kadencye niezgodne z duchem muzyki włoskiego mistrza, lecz i w akompaniamencie, gdzie nie wszędzie utrafionym został właściwy tej ubiegłej epoce koloryt harmoniczny. Opracowanie sławnego francuzkiego skrzypka Alarda, jako wiarogodniejsze i podobniejsze do oryginału, byłoby w tym razie może więcej na miejscu. Niesłusznie zatem krytyk „Pos. Tageblattu“ kładzie dobitny przycisk na historyczne stanowisko i wartość utworu.

Dalej wykonał Piecznikow Cavatinę ze Suity koncertowej na skrzypce rosyjskiego krytyka, literata i kompozytora, dawnego ucznia Moniuszki: Cesarego Kuija, przypominającą w początkowym frazesie melodyjnym słynną pieśń Schumanna „Ich grolle nicht“. Utwór posiada zresztą melodyę szeroką o kosmopolitycznej fizyognomii; wykonawca nasadziwszy na skrzypce tłumik, przesadził nieraz w pianissimach tak, że dla słuchaczów mniej biegłych w chwytaniu uchem szeptów skrzypcowych, całe frazesy nikły. Koncert zakończył się Fantazyą norwegską francuzkiego kompozytora Lalo, któremu udało się francuzki esprit połączyć z uczuciowością norwegskiej ludowej pieśni. Niestety! Koncertant zamiast całej Fantazyi odegrał tylko część pierwszą. Takie amputacye w utworach o jednolitym zakroju i fizyognomii oryginalnej nie zgadzają się, zdaniem mojem, z poważnem i wybitnem stanowiskiem, jakie artysta zajmuje; zdradzają nawet pewien zanik szacunku dla sztuki i autora. Przykro mi to tak bez ogródek wyrazić wobec mistrza tej miary co Piecznikow, ale *„amicus Plato, sed magis amica veritas“* Publiczność poznańska zadowoliła się tem francuzko-norwegskiem torso, świetnie zresztą wykonanem, jak wszystko, co z pod smyczka wybitnego artysty wychodzi, i grzmiącemi oklaskami zmusiła koncertanta do naddatku. Piecznikow odegrał nad program Saint-Saënsa „le Cygne“.

W koncercie wzięła także udział śpiewaczka król. opery berlińskiej p. Marya Deppe i wykonała z wielką tremą Schuberta „Du bist die Ruh“, trochę brutalnie i sztywnie Schumanna „Lust der Sturmnacht“, za to udatnie Wagnera „Traeume“; wykonanie Brahmsa „Meine Liebe ist grün“ przypominało brawurową aryę z jakiej opery włoskiej. Później odśpiewała artystka pieśń norwegskiego kompozytora Kjerulfa „Liebespredigt“, dalej Kienzla sympatyczną piosenkę „Der Kuss“ z charakterem czysto słowiańskim i Gernsheima „Lieb verrät nicht“. Krytyk „Dziennika pozn.“ przerobił głos panny D. jednym pociągnięciem pióra na *kontralt*, a więc nizki alt, o czem jednak zaraz zapomniał, ponieważ chwali tylko wyższe tony, a niższe znajduje wadliwe i słabe. Tymczasem panna D. posiada mezzo-sopran z silnie wyrobioną głośną skalą.

Ostatecznie należy jeszcze wziąć w obronę akompaniatora, p. Ottona Bake, który w ostatnim koncercie wywiązał się ze swego trudnego zadania ku ogólnemu zadowoleniu publiczności i krytyków niemieckich. Tylko referent „Dziennika Pozn.“ uważał, że fortepian „p. Bake nie zawsze był w stanie dostroić się do świetnego smyczka“. Ostatnie recenzye poznańskie dostarczyłyby więcej jeszcze materyału do humorystyki, na razie jednak odmówić sobie muszę tej przyjemności; może później do tego tematu powrócę i bliżej się przypatrzę poznańskiej krytyce.

Edwin Jahnke.

TO I OWO.

Modna kobieta.

W feljetonie „Liberum veto“ A. Świętochowskiego („Prawda“ Nr. 13) czytamy uwagi następujące:

Wiosna ma tylko jeden szczegół brzydki, — modną kobietę. Oko cierpi zarówno zranione kolcem, jak dotknięte szpetnym widokiem. Często powtarzany w sądach estetycznych frazes — że twory rzeźby greckiej są dla nas, którzy przewyższyliśmy starożytnych pod każdym względem, wzorami „niedoścignionemi“ — byłby grubą niedorzecznością, gdyby nie nasze nadobne, urocze i eleganckie „damy“. Żaden Fidyasz, żaden Michał Anioł nie zdołałby wydobyć piękności z tych istot, których nie mógłby ani rozebrać, gdyż powstrzymane w rozwoju ciała są niekształtne, ani ubrać, bo są w swych strojach poczwarne. Co największy geniusz pocznie wobec tych skurczonych stóp, zeschłych łydek, przewężonych gorsetami u dołu a zapadniętych u góry torsów, lub wobec tych cudacznych kapeluszów, przybranych wiązką ptaków, tych ogromnych worków na rękach, tych spódnic lejkowatych, tych bawolich grzywek i żydowskich pejsów? Apollo nie wyzyskałby takiego modelu dla sztuki. Ile razy tedy słońce rozśmieje się wiosną i tchnie ciepłemi powiewami, oczekując zmartwychwstania uroków przyrody, jednocześnie uczuwamy dreszcz na myśl o tem, co też jeszcze obrzydliwszego wynajdzie moda dla kobiet i czem one pastwić się będą nad naszemi oczami. Bo jak się ubiorą w każdym nowym „sezonie“, to może być wątpliwem, ale że ubiorą się szkaradnie, to nie ulega wątpliwości. Dla tego stanowią zawsze plamę na wspaniałym płaszczu wiosny.

Mężczyźni zrobili już wiele buntów i stoczyli wiele walk, ale dotychczas nie podjęli rewolucyi bardzo potrzebnej — przeciwko kobietom. Już, jeżeli one koniecznie chcą być nieukształcone, bezczynne, próżne, zamiłowane w ozdobach zewnętrznych, niech że sobie będą. Czemu wszakże te stare dzieci mają oszpecać się za pieniądze mężczyzn, którzy przecież za tę ofiarę mogą wymagać od nich gustu? Usuwam z tego Panteonu *ludzi* płci żeńskiej, myślących, pracujących, przyjmujących udział w trudach i postępach świata, będących jakąś cyfrą w jego poważnych rachunkach, pytam tylko te ogoniaste, bufiaste, ufryzowane i wymalowane bawidła: jeżeli one nie umieją nawet ładnie ubrać się, to czy warte są istnienia na ziemi? Mężczyźnie, bogatemu i rozrzutnemu pańsko podobało się znaczną część owoców swej pracy poświęcać żywej lali — taka jego

fantazya; ale niechże przynajmniej ta lala da zadowolenie jego oczom, niech swą modę powierzy jakimś mistrzom dobrego smaku — malarzom, estetykom — ale nie zwyczajnym krawcom i fabrykantom, którzy jej narzucają swoje pomysły niedołężne lub waryackie. Niegdyś mówiono, że najpiękniejszym tworem natury jest kobieta, dziś powiedzieć trzeba, że najbrzydszym tworem natury jest kobieta modna. Tylko mężczyzna może i powinien przywrócić jej straconą urodę, ale tego nie zrobi, bo ona po części już i jemu smak popsuła. Gdyby on był dawnym Grekiem, mającym wrażliwe i mocne poczucie piękna, rzekłby do niej:

— Dosyć tego, mój elegancki koczkodanie! Ja nie będę pracował w biurze, kantorze, fabryce, po dziesięć godzin dziennie, nie będę wyczerpywał swoich sił, rujnował zdrowia, ażebyś ty mogła robić z siebie czupiradło. Jeżeli pragniesz mieć parę wron lub wieżę z wstążek na głowie, zamiatać kurz z ulic dwoma łokciami tkaniny jedwabnej lub wełnianej, udawać tiurniurę Hotentotki z naroślami tylnemi, to na tę przyjemność zarób sobie sama.

Och, jakże prędko moda nauczyłaby się artyzmu! Niestety, on jej tego nie powie, gdyż albo pod jej wpływem przytępił w sobie zmysł piękna, albo, znużony daremną walką, tak zobojętniał na wybryki „baby“, że nie zaprotestowałby, gdyby ona w swych uszach zamiast kolczyków zawiesiła ogonkami dwie myszy, a na głowę wsadziła konewkę.

Zaiste, rzecz dziwna! Zdawałoby się, że kobieta, która tak długo nie uczestniczyła w rozwoju cywilizacyi i stanowiła w niej pierwiastek bierny, powinna piastować ideały piękna, że skazana na to, aby się ubierać, stworzy wysoki artyzm stroju. Tymczasem — nie. Po dwudziestu kilku wiekach rozmyślań i starań w tym kierunku, o ile nie korzysta z męzkich wzorów rzeźby i malarstwa, robi z siebie straszydło. Unika cudactw tylko zwyczajna chłopka i robotnica lub kobieta ukształcona do miary pełnego człowieka. Dwa te krańce przedstawiają też największą wartość społeczną.

* * *

Także poezya.

Niewielu czytelnikom naszym zapewnie wiadomo, że znany filantrop poznański ś. p. Norbert Bredkrajcz, — którego nazwisko dziś jeszcze figuruje w różnych konkursach Tow. Przyjaciół Nauk, ogłaszanych na mocy jego fundacyi testamentowej w celach literackich, — wydał w r. 1843 tomik niby-poezyi, a w rzeczy samej rymowanych bredni, które współczesnej krytyce posłużyły za temat do drwin jadowitych. Jako próbkę Bredkrajczowskich „pieśni“ przytaczamy wierszyk następujący:

Po otchłaniach wodnych błot
Na kępach, porosły mech
Zrywa z łoża wichru zwrot,
Tocząc w stepy zgniły dech.
Odparzelisk bezdne tło
Pod brzuchem węża się gnie,
I w syk stroi gibkie pło
Ze wdziękiem żądła co mgnie.
Znowu kępa; co to? — jar —
Na przesmyku, dziki zwierz
Trąbi paszczą groźny gwar,
Porzucając z łożem kierz.
W lustrze ślepia złości skra,
Swe połyski w obszar śle,
Jak ze słońcem lodu kra
W wiośnie, topiąc łzy na ple itd.

No! można być zacnym człowiekiem, lecz kiepskim poetą. Oby sobie to spamiętać raczyli różni adepci Parnasu na poznańskim bruku.

* * *

Na Wyłomie.

(Dr. Roman Szymański.)

Rok bieżący jest rokiem jubileuszów dziennikarskich. Jeszcze nam w uszach dzwonią melodyjne waryacye na temat „Cześć Dobrowolskiemu“, a już stroi się sala pana Adamskiego w wieńce i girlandy na przyjęcie drugiego jubilata. Dwadzieścia pięć lat mija od chwili, w której p. dr. Szymański objął naczelne kierownictwo „Orędownika“ i oto gromadzi się demokracya zaboru pruskiego, by srebrnym wieńcem ozdobić skronie redaktorskie.

Ćwierć wieku! Długa to droga, a kwiatów było tam mało i mało pogodnego błękitu. Po różnych ścieżynach politycznych stąpał Szymański, a gdzie nogę postawił tam krzyk się budził bojowy. Śladem jego szła burza jak nieodstępny towarzysz, a gdy wicher szalał na okół wyrastały mu skrzydła u ramion. Nie były to jednak orle skrzydła wyobraźni, rwące ku słońcu, lecz husarskie pióra, szumiące nad zbroją stalową, gdy trąbka zagrała na bój. Umysł Szymańskiego pozbawiony jest niemal zupełnie pierwiastku fantazyi, — świat piękna nie upaja mu duszy swym czarem, — to żołnierz-polityk przykuty do ziemi, strategik trzeźwy i logiczny, pochłonięty planami bitew i mustrą legionów, dusza lubiąca gwar wojny, zuchwałe napady, huk strzałów i szczęk oręża. Trzeźwość tego wodza ruchu ludowego jest tak radykalną, że graniczy niekiedy z pewną oschłością umysłu i zamienia się niemal w odrazę do idealniejszych porywów ludzkiego ducha, wylatujących poza granice cyfry i zimnej logiki. Ztąd pojęcia jego o warunkach ewolucyi społecznej, jego programy i jego organ posiadają wybitne znamiona jednostronności, lecz jednostronność ta jest równocześnie źródłem siły wychowawczej w kierunku pracy organicznej.

Jako talent dziennikarski zajmuje Szymański niewątpliwie pierwsze miejsce w prasie poznańskiej. Ruchliwość, bystrość, szybkość oryentacyi, znajomość ludzi i stosunków, zdolność argumentacyjna, umiejętność wyzyskania słabych stron przeciwnika, — wszystko to złączyło się w całość, stanowiącą niepospolitą siłę publicystyczną. Styl redaktora „Orędownika“ nie odznacza się ani wytworną elegancyą, ani kolorytem subtelnym, posiada jednak rytmikę, jasność i spoistość. Przejawia się w nim wybitna dążność do wydobycia jak najsilniejszej plastyki i podbijania umysłu czytelnika energią zwrotów i porównań. Ta pogoń za soczystością barw i wyrazistością konturów ma nawet pewne znamiona maniery, która w przełomowych chwilach naszych walk politycznych olśniewała wprawdzie i elektryzowała żołnierzy „Orędownika“, lecz przeciwnikom nastręczała niejednokrotnie sposobność do szyderstwa lub kamienowania. Jaskrawość formy łatwo przecież wyzyskać dla zabicia lub kłamliwego wypaczenia treści. Bądź co bądź jednak posiada pióro Szymańskiego jako dziennikarza-polemisty siłę niepospolitą i często zamienia się w skalpel odsłaniający w głębinach społecznego organizmu utajone lub zaniedbane bóle i zgnilizny, często staje się oskardem dobywającym z twardych granitów i ciemnych podziemi niewyzyskane skarby dla narodu.

Na trybunie agitacyjnej nie zdradza redaktor „Orędownika“ entuzyazmu i fanatyzmu. Mówi jędrnie i przekonywająco, lecz nię zauważyłem nigdy, aby retoryka jego porywała i zapalała tłumy. On uczy, nie unosi, a pyrotechniczne popisy i eksplodujące deklamacye odstępuje mistrzom frazesu, których niemała liczba znajduje się w szeregach stronnictwa ludowego. Znamienną cechą wszystkich występów Szymańskiego w roli retora jest powaga i spokój. Widziałem go niejednokrotnie przed zbitym tłumem różnobarwnych żywiołów, słyszałem gromy protestu bijące w trybunę jego, lecz mówca stał nieugięty i zimny, jak ostrzelany żołnierz o stalowych nerwach. W oczach tylko grały niekiedy jakieś lotne ognie, niby ostatni błysk wrażliwości zgaszonej wojowniczem życiem i systematyczną tresurą, niby iskry bojowych zapałów, gdy bębny larum zagrały. Chwilami przypomina Szymański Eugeniusza Richtera, brak mu tylko tej gryzącej ironii, którą wódz wolnomyślnych Niemców lubi fosforyzować przemówienia swoje.

Nie ma w całym zaborze pruskim drugiego człowieka, który kiedykolwiek stał się przedmiotem tak powszechnej i namiętnej nienawiści panujących stronnictw jak Roman Szymański. Działalność jego, wyłamująca się z opieki patentowanych ojców narodu i druzgocąca karby tradycyjnych form i przykazań życia politycznego, przedewszystkiem jednak siła, przejawiająca się w kampaniach „Orędownika“, zgotowały mu pręgierz, klątwę i bojkot. Krucyata ta nie złamała wodza ruchu ludowego, lecz zaostrzyła bezwzględność i radykalność opozycyi jego. Popalił wszystkie mosty, łączące go jeszcze z stronnictwem „ładu i porządku“, wycofał się niemal zupełnie z życia towarzyskiego i otoczony żołnierzami swymi gotuje pułki do nowego szturmu. Walka wypełnia mu całą egzystencyę — gorączkowa agitacya wyczerpuje umysł i energię, — z bitwy na bitwę! — tak ćwierć wieku przebojował i u bram jubileuszowych stoi świeży, niestrudzony i nieugięty!

Włóżcie mu wieniec srebrny na głowę! Kochał swój sztandar, kochał lud, pracował z talentem i poświęceniem w obronie narodu, a chociaż mylił się nieraz, to w gmachu Polski demokratycznej będzie mnóstwo kamieni z jego nazwiskiem.

Włóżcie mu wieniec na głowę!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Przekład Verlain'e'a. W poprzednim numerze ogłosiliśmy francuzki wierszyk Verlaine'a, charakterystyczny dla twórczości tego poety, załączając równocześnie uprzejme wezwanie, by czytelnicy nasi raczyli drobiazg ten na język polski przełożyć. Z kilku łaskawie nadesłanych tłomaczeń oddajemy pierwszeństwo następującemu:

Les sanglots longs	Przeciągłe łkania
Des violons	Smętnie wydzwania
De l'automne	Harfa jesieni,
Blessent mon coeur	Aż drży me serce
D'une longueur	W dzikiej rozterce
Monotonne.	Posępnych pieni.
Et je m'en vais	Błądzę — ponury
Au vent mauvais	Bólem natury
Qui m'emporte	I zgorzkły wszystek,
Deça, delà	Jak wichrem gnany
Pareil à la	Przez puste łany
Feuille morte.	Uwiędły listek.
Verlaine.	Igor.

* * *

* Konkurs. „Kuryer Codzienny“, jeden z najpoczytniejszych organów warszawskich, rozwijający się nader pomyślnie pod zręcznem i sprężystem kierownictwem Antoniego Mieszkowskiego (Sęk), ogłasza z powodu dziesięciolecia istnienia swojego konkurs powieściowy i ofiaruje na cel ten 1000 rsr. Oprócz nagrody powyższej zapewnia redakcya autorom prac poleconych przez ko-

mitet konkursowy do druku honoraryum po 5 kop. od wiersza, pozostawiając im nadto prawo własności do wydania książkowego. Sąd o przyznaniu nagrody oddaje „Kuryer Cudzienny“ czytelnikom samym. Do komitetu konkursowego powołano najwybitniejsze siły z grona krytyków i literatów, między innemi Dr. Piotra Chmielowskiego, Wład. Bogusławskiego i Józefa Kotarbińskiego. Konkurs powieściowy „Kuryera Codziennego“ witamy z szczerem uznaniem jako prawdziwą przysługę wyświadczoną belletrystyce polskiej.

* * *

* Z literatury muzycznej. Nasza nader uboga literatura muzyczna powiększona została przez dwa dziełka.

Anna Lisiecka wydała nakładem księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie życiorysy i szkice pod tytułem: „Ze świata muzyki“. Autorka przedstawiła życie kompozytora Rossiniego i sławnej śpiewaczki Marietty Malibran w sposób zrozumiały dowcipny, choć trochę rozwlekły; dalej opisała życie, miłość i tragiczny koniec Roberta Schumanna, czerpiąc z najnowszych prac i źródeł odnoszących się do życia i dzieł sławnego niemieckiego kompozytora. W szkicu „Artysta w kółku rodzinnem“ rzuciła autorka nieco światła na przodków i rodziców Feliksa Mendelsohna — Bartholdyego i podała krótką charakterystykę kompozytora samego. Następny szkic poświęcony jest naszemu nieśmiertelnemu śpiewakowi Fryderykowi Chopinowi i zawiera niektóre mało znane szczegóły z życia jego. W ostatnim zaś szkicu „Po szlakach melodyi“, przedstawiła nam autorka w zajmujący sposób krótki pogląd na rozwój sztuki muzycznej, doprowadzony aż do nowszych czasów. Sposób przedstawienia rzeczy przypomina nieco „Musikalische Charakterköpfe“ p. La Mara (Lipsius). Autorka „Szkiców“ nie dorasta jednak ani wytrawnością sądu, ani znajomością rzeczy na tem polu niemieckiej pisarce. Mimo to inteligentny czytelnik z „Szkiców“ dużo może skorzystać i niejednych ciekawych i pouczających dowiedzieć się szczegółów o życiu wymienionych muzyków. Szkice okraszone nadto wytrawnemi cytatami, które autorka zaczerpnęła z dzieł poważnych autorów zmuszają nieraz i do poważniejszych rozmyślań.

Drugie dziełko wyszło w Petersburgu nakładem księgarni polskiej Grendeszyńskiego.

Jestto przekład książki znanego niemieckiego zoologa prof. Dr. Augusta Weismanna p. t. „Myśli o muzyce u zwierząt i człowieka“. Przekład ten uzupełnił cennemi komentarzami p. Adam Mahrburg. Prof. Weisman ogłosił sporo prac różnej biologicznej treści, w których podobnie jak i we wymienionem studyum, odczytanem w roku 1889 w hamburgskiem towarzystwie artystów i uczonych, występuje jako przeciwnik teoryi dziedziczności Lamarcka i Darwina. Autor stosując swe ogólne teorye do rozwoju talentu muzycznego, wykazuje punkt za punktem z gruntownością profesora niemieckiego, że osobnik nie przenosi cech osobiście przez ćwiczenie nabytych na potomstwo, a objaśniając w pracy swej początek zmysłu muzycznego dochodzi do przekonania, że rozwój nie polega na spotęgowaniu się naszego zmysłu muzycznego, nie na zmianach w przyrodzonej nam organizacyi fizycznej, lecz raczej wyłącznie na zdolności przekazywania wytworów ducha z pokolenia na pokolenia. Ciekawe to studyum polecam uwadze wszystkich myślących czytelników. Jako uzupełnienie badań autora o słuchu zwyczajnym i muzykalnym zwracam jeszcze uwagę na pracę niedawno zmarłego sławnego wiedeńskiego chirurga dr. Billrotha „Wer ist musikalisch?“, którego badań i poglądów autor w swej pracy nie mógł jeszcze zużytkować.

Edwin Jahnke.

* * *

* Chojecki stał się ofiarą niechęci ku cudzoziemcom, objawianej coraz śmielej we Francyi. Przyjęto dymisyą jego z posady naczelnego bibliotekarza senatu, o którą prosił przed kilku miesiącami, pod parciem dzienników, domagających się, aby cudzoziemiec starzec, ustąpił miejsca młodszemu, francuzowi. Pomimo sędziwego wieku, Chojecki nie usunąłby się jeszcze, gdyby nie kampania, prowadzona przeciw niemu. Przyznano mu tytuł honorowego bibliotekarza, pozostał na czele rady administracyjnej dziennika „Le Temps“. Jest to jeden z rzadkich emigrantów naszych, którzy zdobyli sobie wpływowe stanowisko w prasie paryzkiej. Nie doszedł do tego bez pewnych ustępstw, musiał z Chojeckiego stać się Charles Edmond, polskość pozostawił na uboczu i odłożył a d a c t a. Dzieje się z nami coś podobnego, jak z chrześcianinami za czasów pierwszych cezarów rzymskich. Jedni nie bili przed nimi pokłonów i nie starali się o urzędy, drudzy nie odmawiali palenia szczypty kadzidła na Ołtarzu Nerona lub Domicyana i to im się opłacało. Charles Edmond szczyptę kadzidła palił kolejno na ołtarzach rewolucyonistów w 1848 roku, Napoleonów i oportunizmu. Nie każdy czuje w sobie powołanie, nietylko do męczeństwa, ale i do apostolstwa. Może w zaciszu domowem, w pięknej willi swojej w Bellevue, pod Paryżem, Charles Edmond poczuje chęć przerobienia się znów z Charles Edmonda na Chojeckiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Rosya czyni przygotowania do wojny z Japonią. Rosyjskie okręty przewożą znaczne oddziały wojska do wschodniej Azyi. — Przywódzca umiarkowanych radykalistów w francuzkiej izbie deputowanych, Ferdynand Sarien, otrzymał tekę spraw wewnętrznych, opróżnioną w skutek objęcia ministerstwa spraw zagranicznych p zez p. Bourgeois. — Na uroczystości Kościuszkowskiej w Krakowie urządziła partya socyalno-demokratyczna burzliwą demonstracyę, zagłuszając śpiewy patryotyczne swoją pieśnią rewolucyjną „Czerwony sztandar“. Wśród piekielnej wrzawy widział się komitet zniewolonym zamknąć zgromadzenie; socyaliści nie zadowolili się jedną awanturą i tego samego wieczora rozbili komers włościański „pod Różą“, zwołany przez posła Bojkę. — We Wiedniu straż ogniowa urządziła bezrobocie.

Teatr i muzyka. Dyrekcya teatru poznańskiego zaangażowała na przyszły sezon zimowy pannę Odran (Stępniewską) do ról bohaterskich Panna Pankiewicz wstępuje do teatru łódzkiego. — Panna Paszkowska wystąpiła na krakowskiej scenie jako Hermiona w „Pieśni zimowej“. Dzienniki tamtejsze wyrażają się z wielkiem uznaniem o grze byłej artystki poznańskiej. — W Zurychu wystawiono z powodzeniem Hochfelda dramat społeczny na tle emancypacyi kobiet pt. „Der Kampf der Frau“. — Sullivana nowa opera komiczna pt. „Wielki książę“ nie zdobyła sobie tego uznania co Mikado. — W Pradze zbudziła wielkie zainteresowanie opera Zdenka Fibicha p. t. „Haydee“; krytyka wyraża się z uznaniem o talencie kompozytora. — Przesilenie teatralne we Lwowie zaognia się bezustannie. W drużynie aktorskiej panuje dysharmonia, publiczność zniechęcona jest w najwyższym stropniu. — Maryan Gawalewicz takie wypowiada zdanie w „Kraju“ o teatrze krakowskim: „Komedya stanowi główną podstawę repertuaru, chociaż p. Pawlikowski, dając folgę swym literackim gustom i wyższym aspiracyom na stanowisku dyrektora teatru, nie pomija i tragedyi, do której obsady tylko w mezkim personelu odpowiednie posiada siły. Całe nieszczęście, że teatr, a zwłaszcza jego kierownik, nie umie, czy nie chce zjednywać sobie i ujmować tutejszej krytyki i arystarchów opinii publicznej, bo możeby łaskawszem okiem patrzano na scenę, która, mojem zdaniem, służy sztuce gorliwie i z poświęceniem, ale, niestety, osobiste względy odgrywać się zdają ważną rolę w traktowaniu teatru i prywatne czynniki, sympatyjki i antypatyjki, przesiąkają do spraw instytucyi publicznej, która na tem traci. Tradycya szkoły koźmianowskiej pozostała dotąd na scenie krakowskiej w grze i traktowaniu sztuki; umiarkowany realizm, dążność do naturalności i prawdy, unikanie afektacyi cechuje grę wszystkich niemal artystów, pomiędzy którymi są wyjątkowe indywidualności: prawdziwe talenty dramatyczne. Nie olśniewają „gwiazdy“, ale nawet w najdrobniejszych siłach znać dobry materyał, zgrany z sobą i podatny pod sprężystem i umiejętnem kierownictwem do stworzenia wybornie zharmonizowanej całości. Zdarzały mi się w teatrze krakowskim niespodzianki, których oddawna nie miewam w Warszawie, że w nowych rolach nie poznawałem jednych i tych samych artystów, przeobrażonych nietylko skutkiem charakteryzacyi, ale i typowej zmiany w nastroju, grze i traktowaniu danej figury scenicznej. Tu się starają o rozmaitość, o wytwarzanie prawdziwych „kreacyi“ w znaczeniu dodatniem, a gdy się zważy, że po większej części tak mało mają czasu do wyuczenia się i opracowania ról, z tem większem uznaniem przychodzi oceniać ich dodatnie strony, z tem większą wyrozumiałością traktować niedostatki i braki. Zapewne, że znalazłby się i materyał do krytyki, do wytknięcia tego i owego, gdyby się wciągnęło w rachubę rozmaite względy czysto miejscowej natury, ale w ogólności wrażenie teatru krakowskiego dla kogoś, co, jak ja, nie potrzebuje się z temi względami liczyć i tylko o samej scenie sądzi bez koteryjnych okularów, pozostaje nader dodatniem i dla tej sceny pochlebnem“.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

Takie wyrazy, jak coniebądź, ktoniebądź, gdzieniebądź, którynienbądź itp., oraz takie wyrażenia, jak „gdzie nie pójdę tam go spotkam“, „co nie powie, to skłamie“, „kto nie wejdzie, to znajomy“ i t. p. są błędnemi. Trzeba mówić: cokolwiek, cobądź, cotylko, ktokolwiek, ktobądź, ktotylko, gdziekolwiek, gdziebądź, którykolwiek itd., bez nie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pr. To, co Wojnicz alias Domarat popisał w „Kraju“ petersburskim o znanym wniosku Związku Towarzystw przemysłowych na walnem zebraniu „Pomocy naukowej“, nie zgadza się z prawdą. Wniosek ten jest oryginalnym produktem dyrekcyi Związku i z stronnictwem „Młodej Polski“ nie ma nic wspólnego. Ale przyzwyczailiśmy się już do tego, że pan Wojnicz-Domarat nie cofa się nigdy przed fałszem, jeżeli chodzi o przypięcie łatki przeciwnikom politycznym, a mianowicie młodym reformatorom. Na żółciowe wylewy tego pana nie ma lekarstwa, chyba... chyba... Bella gerant alii, tu felix Wojnicz nube.

Jad. O ile sobie przypominamy, przekład tej powieści ukazał sie już przed kilku laty w „Bluszczu“.

SPROSTOWANIE.

Do poprzedniego numeru wkradły się następujące omyłki: „W artykule „Tęsknota za krajem w literaturze naszej“ czytać należy na stronie 151, zamiast „Jest to najstarszy dokument nostalgii w literaturze polskiej“ — „Jest to najstarszy dokument nostalgii w literaturze“. — Dalej wydrukowano w francuzkim wierszyku Verlaine'a na ostatniej stronie, zamiast „l'automne“ — l'atomne, zamiast „coeur“ „ceur“ — co niniejszem prostujemy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28